ROK III. Nr. 2 (102) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 11 stycznia 1931 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



A WIĘC TAŃCZYMY — CZY NIE?...

(fot. Dorys.)

Ostatni bój marszałka Joffre'a



Pomnik zwycięzcy z nad Marny, wzniesiony w ub. roku w Chantilly.

Ostatni bój wielkiego żołnierza skończony. Marszałek Joffre zgasł, okrywając kirem ciężkiej żałoby całą Francję — cały świat cywilizowany.

Czy to w cichej mieścinie górskiej, w Rivesaltes, gdzie marszałek urodził się i spędził lata dziecięce, czy też w wielkich metropoljach, tętniących gorączką życia — wszyscy, bez wyjątku, śledzili z niepokojem przebieg choroby dostojnego wodza, drogiego wszystkim uczestnikom wojny światowej „ojca Joffre'a".

Do ostatniej chwili bowiem łudzono się, iż niezwykła siła organizmu marszałka zdoła go wyrwać ze szponów śmierci. Lekarze nawet, i ci — zaczęli wierzyć w cud. Bo do ostatnich godzin marszałek nie poddawał się. Walczył. Cierpiał, i choć słowo skargi nie wyszło z jego ust, na twarzy wyczytać można było ogrom wysiłku, z jakim toczył ten ostatni bój.

„Mój Boże!" — szeptał w zadumie towarzysz broni marszałka, sędziwy generał Pau, którego z trudem zdołano przyprowadzić do śmiertelnego łoża — „mój Boże! Czemuż to nie mnie, niedołężnego, zabierasz przed Twój Sąd? Czemu pozbawiasz Francję najlepszego jej syna?..."

Foch, Clemenceau — a dziś Joffre — wszyscy odchodzą, jeden za drugim, pozostawiając po sobie głęboki żal...



Jedna z ostatnich fotografji „Ojca Joffre'a" z małżonką podczas uroczystości odsłonięcia pomnika w Chantilly.



Marszałek Fayolle, po nim — Foch — dziś Joffre... Armja francuska poniosła w ostatnich latach olbrzymie straty!

*

Niema człowieka, któryby nie wiedział, kim był marszałek Joffre. Imię jego zostało zapisane ku wiecznej pamięci — nieodłącznie z Marną.

A jednak i Joffre przeżył chwile, kiedy go karmiono niewdzięcznością.

Odebrano mu w rok po Marnie dowództwo, wręczając je gen. Nivelle, i mimo, że jego pierwszego mianowano w uznaniu zasług marszałkiem Francji, to jednak tu i ówdzie odzywały się głosy krytyki.

„Zaczną wkrótce mówić, że to nie ty wygrałeś bitwę nad Marną" — mówił jeden z jego blizkich przyjaciół.

„No i cóż z tego — odrzekł z uśmiechem Joffre. — Nie to jest ważne, lecz najbardziej istotną rzeczą jest to, że zwycięstwo osiągnął generał francuski. A to mi wystarcza".

Ileż prostoty zawierają te słowa! Ile w nich wielkości i oddania ukochanej Ojczyźnie!

Joffre był nietylko prosty i skromny, ale również niezwykle nieśmiały. Pozwolę sobie powtórzyć tu przemiłą anegdotę z jego życia. Front. Artyści Komedji Francuskiej udali się w objazd, do *poilus*, zagrzewając ich ogniem swego talentu do wytrwania i osładzając krótkie chwile odpoczynku. W jednem z miasteczek, w pobliżu linji, marszałek natrafia właśnie na scenę, kiedy wdzięczna brać żołnierska ciasnem kołem otacza uroczą artystkę, Caristie-Martel, dziękując jej z głębi serca. Joffre również pragnie wyrazić swą wdzięczność. Przeciska się przez ciżbę, serdecznie ściska ręce artystki. „Pocałuje ją, czy nie... — odzywa się jeden z żołnierzy. — Pocałuje, nie pocałuje" — podchwytuje wiara chórem. A biedny Joffre wyznaje, rumieniąc się, jak żak.

— Pocałować? Kiedy nie śmiem.

— No, to ja to zrobię! — woła uszczęśliwiona artystka, rzucając się na szyję wodza — ku wielkiej radości *poilus*.

*

Człowiek o wielkiem sercu, wódz, pełen talentu, najlepszy syn Francji, rozstał się z tym światem.

Cześć jego pamięci!



Przez siedem dni nieprzerwany korowód ludzi ciągnął do szpitala, gdzie dogorywał marszałek. Od najwyżej postawionych osób, do ludzi z szarego tłumu — wszyscy, bez wyjątku, pragnęli mieć wiadomości o przebiegu choroby dostojnego wodza. Na fotografji — małżonka prez. Poincare'go i gen. Gouraud na drugim planie pułk. Desmaze).



Jeden z pokojów do zajęć z pięknemi malowidłami ściennemi.





Basen do kąpieli i lekcja na świeżem powietrzu.

W raju dziecięcym

Gmina wiedeńska otworzyła uroczyście, w połowie 1930 roku, swój setny ogródek dziecięcy, położony w obrębie olbrzymiego kompleksu gmachów, zwanym „Sandleiten". Wszystkie dotychczasowe doświadczenia i zdobycze, z zakresu wychowania młodzieży, tak pod względem duchowym jak i cielesnym, zostały tutaj wykorzystane i zastosowane.

O tem, jak wiedeńczycy dbają o zdrowie swych dzieci, niechaj posłużą nam następujące cytry. Podczas kiedy przed ostatnim dziesiątkiem lat liczba ogródków dziecięcych w Wiedniu wynosiła 57 ze 145 oddziałami, w końcu 1930 roku ogródki zostały pomnożone do liczby 109 z 345 oddziałami. Dawniejszy oddział służył do zabawy i nauki dla 50 dzieci, dzisiaj tylko dla 30, co umożliwia łatwiejszą opiekę i pozwala na większe zbliżenie się nauczycielki do poszczególnego dziecka.

Instytucja ogrodów dziecięcych posiada niezaprzeczenie duże znaczenie socjalne. Ogródek, otwarty bez przerwy codziennie od godziny 7-ej rano do 6-ej po południu zapewnia opiekę dziecku, którego matka idzie do pracy fabrycznej i nie jest w stanie zabezpieczyć swe dziecko w mieszkaniu. Dziecko — przyszły obywatel kraju, zostaje w ten sposób wyrwane ulicy wraz z jej tysiącznemi moralnemi niebezpieczeństwami. Specjalnie starannie dobrany personel wychowawczy czuwa nad zdrowym rozwojem swych wychowanków. Nie trzeba już dodawać o stałej opiece lekarskiej, oraz zdrowem pożywieniu. Na 10.000 dzieci, uczęszczających do ogródków, około 70 proc. otrzymuje posiłek bezpłatnie, reszta zaś uiszcza minimalną zapłatę.

Jak wyglądać winien ogródek dziecięcy? Na pytanie to odpowiada w zupełności, bez reszty, ostatnio otwarty ogródek w Sandleiten. Został on zaprojektowany i wybudowany przez znanego wiedeńskiego architekta Leischnera. Wewnątrz dużego ogrodu, posiadającego cztery boiska i basen do kąpieli i pływania, stanął obszerny, czteropiętrowy gmach. Każde piętro posiada wewnątrz 4 hale, pokoje do zajęć umeblowane meblami o nowoczesnych linjach. Meble te dostosowane są swoją wielkością do wzrostu młodych pensjonarjuszy. Ściany pokryte są barwnemi freskami, wykonanemi przez uczennice pedagogicznego instytutu gminy miasta Wiednia. Na parterze duży hall oraz szatnia również upiększona deseniami, sprawia miłe wrażenie na dziecku, od chwili przekroczenia przezeń progu.

Zajęcia dzieci składają się z godzin lekcyjnych, prowadzonych przez personel nauczycielski w formie zajmujących i nienużących pogadanek, następnie zabawa, gimnastyka, kąpiel oraz roboty praktyczne. Do czego dziecko ma chęć i pociąg, do tego jest natychmiast przydzielane. Warsztaty stolarskie, ślusarskie, koszykarskie i inne są stale zapełnione pilnymi pracownikami, z pod których paluszków wychodzą nieraz dziwaczne, ale zawsze pomysłowe i użyteczne przedmioty.

ZE ŚWIATA



Szpital w Marlboro, w Massachusets, zainstalował nowy pomysłowy wynalazek, umożliwiający ratowanie chorych, na wypadek pożaru. Są to długie rury, o przekroju 1,50 metra, któremi zostają zsunięci chorzy, z każdego piętra na ziemię. Chorego zdejmują z łóżka, wraz z pościelą i ześlizgują na dół. Wynalazek ten umożliwia, co zostało stwierdzone podczas doświadczeń, opróżnienie całego szpitala w ciągu 12 minut.



Natura czasami, widać, podlega znużeniu w tworzeniu coraz to doskonalszych form swoich tworów i pozwala sobie na zupełnie nieoczekiwany wybryk. Niedawno, na fermie senatora Jamesa J. Coyne, w Allison Park, w Ameryce, urodziło się cielę, o dwuch głowach, dwuch parach oczu, lecz jednej tylko parze uszów. Noworodek jest zbyt słaby, by się samodzielnie utrzymać na nogach, również pewną trudność ma matka — krowa, w karmieniu swego dziwacznego syna.

TEODORA DRZEWIECKA.

Londyn we dnie

Zimą czy latem, czy ciemno jest jeszcze na świecie, czy też blask słońca opromienia ziemię — pierwszym zwiastunem, że budzi się Londyn, jest... *brzęk szkła.*

Od szóstej rano w dzielnicach robotniczych, od siódmej w tych częściach metropolji, gdzie ludzie później wstają, — słychać ten charakterystyczny brzęk, i widzi się przed domami — wózki ręczne, lub ciągnione przez konie, a przy nich rozwozicieli w fartuchach i firmowych czapkach, oraz ich pomocników, — małych chłopców, których misją jest zabieranie z przed progów pustych flaszek i ustawianie flaszek ze świeżem mlekiem.

Tak rzeką rozlewną wpływa do stolicy ranne mleko... Kilka miljonów litrów, w specjalnych, ćwierćlitrowych, półlitrowych, litrowych i dwulitrowych pękatych flaszkach, staje przed progami domów, na kamiennych schodkach, oczekując chwili, aż je zabiorą do mieszkania. Często z pustej flaszki wyziera karteczka z prośbą o zostawienie masła, jaj lub śmietanki, czasem o ćwiartkę herbaty, lub słoik marmolady. Wszystkie te artykuły musi mieć, prócz mleka, szanujący się dostawca. Mleko hermetycznie zamknięte, znajduje się w szkle, noszącem wyrytą w sobie firmę, jednej z dwóch potężnych spółek mleczarskich, koncentrujących w sobie dopływ mleka ze wszystkich ferm, folwarków i wielkich gospodarstw rolnych Anglji. Opowiedzieć, przez jakie różnorodne operacje, lekką sterelizację, i tak dalej, — przechodzi ów najcenniejszy dla ludzkości pokarm płynny, zanim w olbrzymich wagonach-cysternach, latem zaś, w wagonach-chłodniach, przybywa do ośmiomiljonowego Londynu, gdzie dopiero zostaje butelkowane, — znaczyłoby poświęcić temu cały feljeton, to też dziś poprzestanę na tych kilku pobieżnych danych.

Naogół, jak to, zapewne, wiadomo, angielska rodzina, zgodnie z odwieczną tradycją, zamieszkuje przeważnie jeden wąski, a wysoki dom, o dwóch pokojach na każdem piętrze. Zwykle w widnych suterynach mieszczą się kuchnia i pokoje dla służby (obecnie zredukowane do minimum), na wysokim parterze są pokoje bawialny i jadalny, na pierwszem piętrze jedna lub dwie sypialnie, na drugiem „nurseries", to jest pokoje dla dzieci. Powojenny głód mieszkaniowy spowodował, że domy tego typu podzielono za pomocą przepierzeń na dwa mieszkania, ale stopniowo dają się widzieć w Londynie nowe, na ład europejski wielomieszkaniowe kamienice, i oto nieraz przed wejściem do takiego domu, można rano widzieć całe baterje tych białych flaszek, i — rzecz godna podziwu — nie wywołuje to żadnego zamieszania.. Każda rodzina zabiera z progu tę ilość, która się jej należy. O tem, żeby tu kiedy skradziono mleko, lub pieczywo z przed drzwi, nie słyszy się nigdy, *aczkolwiek*, i to należy podkreślić, — kradzież chleba w Anglji *nie jest karana.*

Swoją drogą, kiedy koło jedenastej przed południem, dostawca mleka robi swoją drugą „tournée", już tym razem przeraźliwym okrzykiem „milk", dając o sobie znać, i zauważy, iż pełne flaszki zostały na progu, nie ruszy ich z miejsca.

Mleko zamówione, — musi być zapłacone i nic mu do tego, że go nie zabrano. Mimowoli, gdy piszę te słowa, przypominam sobie to, co kiedyś widziałam na własne oczy w Londynie. Było to latem. Poszłam odwiedzić moją znajomą. Wstępując na stopnie, wiodące do drzwi wejściowych, ujrzałam jakieś dwadzieścia flaszek mleka, ustawionych parami i schodzącemi aż do ogródka. W większości, z tych litrowych butelek, mleko widocznie skwaśniało od ciepła, i podeszło serwatką. Zaintrygowana tym widokiem, zaraz po przywitaniu, zapytałam mojej znajomej, co znaczy ta masa mleka? Odpowiedziała mi, że rodzina, zamieszkująca nad nią, wyjechała na trzy tygodnie nad morze, służącą zwolniła i widocznie zapomniała uprzedzić rozwożącego mleko. No więc kiśnie sobie! Kiedy ci państwo wrócą, uregulują rachunek, mleko zostanie wylane do zlewu i puste flaszki zabrane.

— Ależ to jest oburzające! — zawołałam. — W mieście, gdzie jest taka nędza, gdzie tyle dzieci miesiącami nie dostaje kropli mleka, marnować w ten sposób kilkanaście litrów! Czyż rozwoziciel nie powinien był dać znać o tem do centrali tak, ażeby to mleko odstawiono do najbliższego żłobka, czy przytułku?!

Moja interlokutorka, czystej krwi Angielka, wzruszyła ramionami.

— Widać, że pani jest cudzoziemka... Niechby przed progiem domu skwaśniało sto litrów mleka, i sto bochenków chleba uschło na kamień, o ile to nie zatruwa powietrza i nie tamuje dostępu do domu, nikt nie ma prawa wtrącić się do tego. Tak, zgadzam się, że to jest bezmyślne marnotrawstwo, ale co robić?... My, Angielki, tyle czasu udzielamy sportom i życiu nazewnątrz, że, o ile nas tylko stać na to, zrzucamy ciężar domowego gospodarstwa na tak zwane „housekeepers", lub służbę... A jakie to daje rezultaty? Oto jedna z naszych posłanek, mówiąc przez radjo, stwierdziła, że gdyby zrewidowano w zamożnych dzielnicach wysokie metalowe cylindry, przeznaczone do wrzucania śmieci, znalezionoby w nich tyle nienapoczętych bochenków chleba i tyle gotowanego i pieczonego mięsa, że starczyłoby tego na wyżywienie dziesiątków tysięcy głodnych.

Ale odbiegłam od tematu.

Jest więc rano. Z progów stopniowo znikają białe flaszki, apetyczne torby i torebki z pieczywem, i w powietrzu zaczyna się unosić specyficzna woń smażonych ryb i boczku. To Londyn zasiada do słynnego „breahfastu", składającego się z kaszy „Herkulo", „keepers", rodzaju morskich wędzonych ryb na gorąco, smażonych jaj na boczku, lub szynce, herbaty, tostów z masłem i pomarańczową marmoladą. Im dom jest zamożniejszy, tem sutsze jest to pierwsze śniadanie.

Teraz, — między ósmą a dziewiątą, poczyna się z całego Londynu i peryferji odpływ tłumów, dążących do swoich warsztatów pracy — do City. Ulice roją się od ludzi, czekających na przystankach na autobusy, które przeważnie są już tak przepełnione, że przejeżdżają, nie zatrzymując się. Trzeba czekać na następny, może w drugim lub trzecim dopiero można będzie znaleźć sobie miejsce.... A czas leci, i we wszystkich londyńskich biurach i sklepach są aparaty, które nieubłaganie, *co do minuty* wybijają godzinę, o której się pracownik zjawił.

Na stacjach kolei podziemnej jest jeszcze gorzej, gdyż, aczkolwiek co dwie minuty przelatują olbrzymie, o kilkunastu wagonach pociągi, jest rano tak straszliwy tłok, że nieraz pięć i sześć pociągów przepuścić trzeba, zanim się tam człowiek dostanie.



I tu, i w autobusach, bieli się od rannych pism, które każdy czyta, wiedząc, że już później na to czasu nie będzie, i żeby zabić nieraz godzinną podróż do City... Koło dziewiątej szalony ruch zwolna przechodzi w normalny, pod ziemią i na ziemi...

Rzadziej przejeżdżają wysokie, piętrowe — szkarłatne, błękitne i zielone autobusy, natomiast coraz więcej mknie po jezdni eleganckich, prywatnych samochodów, które zawożą szefów i dyrektorów, palących wonne cygara i fajki do City. Ich godziny i minuty przybycia *nie notuje* aparat, wymyślony jedynie na utrapienie „białych niewolników"...

Udajmy się teraz do dzielnic, tak zw.

„residential", dalekich od gwarnych arteryj, dzielnic, o szerokich, spokojnych ulicach, bez sklepów. Tu, przed pięknemi, jasnemi domami, o jednakowej architekturze, śmieją się, jak rok długi prawie — małe ogródki, pełne sezonowych kwiatów, począwszy od fjoletowych i białych krokusów w marcu, kończąc na listopadowych astrach...

Tu i ówdzie otwierają się masywne, o bronzowych, błyszczących klamkach i kołatkach — drzwi. i służba wynosi dziecinny wózek, o karoserji, nie ustępującej Rolls-Roycom!... Za chwilę, ze stopni schodzi w swoim eleganckim kostjumie „nurse", trzymająca w ręku „Jego" lub „Jej królewska Mość" — dziecko, przeważnie w bieli. To wywozi się drogie *baby* na ranny spacer, do najbliższego w danej miejscowości parku, podczas, gdy jego mamusia, sama lub w towarzystwie starszych swoich dzieci, udaje się samochodem, już ubrana do konnej jazdy, do „Hyde-Parku", i tam przyłącza się do śmietanki towarzystwa na „Rotten Row", alei, przeznaczonej do konnej jazdy, i tam zażywa rozkoszy harcowania na koniu, między jedenastą a dwunastą.

Jest to widok, jedyny w swoim rodzaju. Większość tych mężczyzn i kobiet, to istotnie ludzie należący do starej, rodowej arystokracji, ludzie prawie od kolebki zżyci z koniem, tworzący jakby jedno ze szlachetnymi swoimi wierzchowcami. Starzy, bardzo starzy gentlemeni, siedzą w siodle prości, jak świece, małe dziewczynki kierują swoimi arabczykami, jak wytrawne amazonki cyrkowe...

Zbliża się godzina pierwsza, godzina lunchu. W City, tysiące restauracyj i kawiarń nie są w stanie zmieścić pracujących, pomimo, że w biurach pozostaje połowa urzędników, którzy wyjdą dopiero wtedy, kiedy pierwsi powrócą. Przy stolikach, przeznaczonych właściwie na dwie osoby, a nakrytych na cztery, kelnerki dokonują cudów, obsługując gości szybko i sprawnie. Mimo to, trzeba cierpliwie czekać. Ale tu, w Anglji, nikt nie przejawia swojego zniecierpliwienia, nikt nie stuka, czem się da, po stole, ażeby zwrócić na siebie uwagę. Czeka się bez sarkania, bo widzi się, co się dzieje dokoła... Siedzą młode pracowniczki, spoglądając na zegar, bo to chciałoby się i przelecieć się, i odetchnąć świeżem powietrzem, po dusznej, ciężkiej atmosferze biura, a co ważniejsze, załatwić sobie jakiś pilny sprawunek... Trudno! W oczekiwaniu taniej potrawy, zanurza się starannie upudrowany nosek w książkę z czytelni, romans, widocznie tak porywający, że nieraz sąsiedzi z dobrodusznym uśmiechem zwracają uwagę, iż zamówiona potrawa stygnie, i w ten prozaiczny sposób sprowadzają młodą sklepową, czy maszynistkę, z krainy marzeń do rzeczywistości... I wtedy, kiedy ona, przełknąwszy tanie, i odpowiednio niesmaczne danie, wraca do swojej pracy, zamożne kobiety, po domowym lunchu (obiad), składający się zazwyczaj z trzech dań, udają się na tak zwany „shopping" (zakupy), to jest — załatwianie sprawunków, przeważnie dla siebie, lub dzieci, bo, jak to zaznaczyłam, kupowanie i stalowanie produktów spożywczych spoczywa na służbie. Oczywiście, bardzo bogate kobiety stalują sobie i kupują toalety, płaszcze, kapelusze i futra w luksusowych firmach na Bond-Street i przylegających doń ulicach. Ale średnio zamożna klasa stanowi główną klijentelę olbrzymich domów handlowych, w rodzaju paryskich „Galeries Lafayette", „Bon Marché" i innych. Tu można znaleźć towary i artykuły mody, tak damskiej, jak męskiej — na wszystkie kieszenie. Tu można również wyekwipować się w najdroższą wyprawę, znaleźć najwykwintniejsze umeblowanie, autentyczne, bezcenne antyki—jak np. u Maple's biżuterję, a także... mięso, ryby, jarzyny owoce i wszystko, o czem dusza zamarzy w dziedzinie przekąsek, gotowych do zabrania majonezów, pasztetów, galaret, nie mówiąc o całej gamie kombinowanych kremów z owocami, o jakich na kontynencie pojęcia się niema,

aczkolwiek naogół — kuchnia angielska, niech mi wolno będzie powiedzieć, jest najgorsza, najniesmaczniejsza w Europie... Zresztą, przyznał mi to tak wielki pisarz, jak Chesterton, który, podnosząc do niebios polską kuchnię, powiedział, że my — Polacy (raczej—Polki...) umiemy z cielęciny stworzyć „pasjonujące poematy"...

Więc wielkie owe domy, jak „Harrods", „Barkers", „Selfridges" i tak dalej, są przepełnione między trzecią a szóstą. Publiczność przechodzi, zatrzymuje się, podziwia, zapytuje o cenę, nie zawsze nabywa, ale jest *zawsze* jednakowo uprzejmie żegnana i może odejść bez tego dziwnego uczucia zażenowania, jakie się daje obserwować gdzieindziej. Hasłem w Anglji jest: „nie krępować publiczności. Nie kupią dziś, kupią jutro, byle ich nie odstraszyć kwaśną miną"...

Koło czwartej olbrzymie „tea-rooms" (kawiarnie), znajdujące się przeważnie na najwyższych piętrach, lub na dachach tych gmachów, już nie są w stanie zmieścić spragnionych herbaty klijentek i dzieci, które im towarzyszą. Mężczyzn tu nie widzi się prawie, a o ile się znajdzie kilku, to są to cudzoziemcy, lub przyjezdni. Wszyscy inni — pracują.

Na stolikach, zawsze ozdobionych kwiatami, widnieje wszędzie na talerzach „bread and butter", cieniutko, jak opłatek, krajana bułka, posmarowana masłem; sandwicze, keksy i konfitury. Herbata chińska lub indyjska. Przeciętna cena takiego kompletnego „tea" wynosi szylinga, to jest nieco więcej jak dwa złote. Do podwieczorku przygrywa zawsze doskonała orkiestra i występują soliści... Cóż więc dziwnego, że czekają tu kolejki nieraz i pół godziny!...

O tem, co się między dziesiątą rano, a ósmą wieczór, dzieje w centrum Londynu, nie będzie nikt miał pojęcia z opowiadań i opisów. Jest to jeden szalony, wściekły wir, chaos i piekło, z którego nieszczęśliwy przechodzeń nie uszedłby z życiem, gdyby nie przebrani za policjantów — aniołowie stróże... Im to zawdzięcza Londyn, że niema codziennie paru tysięcy przejechanych na śmierć, lub „dożywotnich kalek"...

Zaczyna zmierzchać. W olbrzymich wystawach sklepowych zapalają się elektryczne słońca, na budynkach i nad dachami poczynają lać się, tryskać, skakać, zjawiać się i znikać — najróżnobarwniejsze reklamy świetlne... Oto z butelki wlewa się do kieliszka rubinowy portwein znanej firmy... Oto wielka fasada „Selfridges" tryska z każdego olbrzymiego okna swojego, ruchomą fontanną elektryczną... Następuje szósta—siódma... Na jezdni, jasnej, jak dzień, światła, po Regent-street, naprzykład, posuwają się karawany autobusów, oświetlonych a giorno, taksówek i maszyn prywatnych... Posuwają się kolumnami w cztery rzędy z każdej strony, bo o szybkiej jeździe w tym punkcie i w wielu innych o tej godzinie, mowy niema!... Za to koleje podziemne znowu są czarne od tłumów... Tam *ruchu* nie tamuje *ruch*, i można prędzej dostać się do ukochanego „home'u", gdzie Anglika czeka zwykle bardzo dobra żona, i *bardzo zły obiad...* (Przynajmniej w naszem pojęciu...).

O wpół do ósmej cały Londyn zasiada do obiadu. Dzień, gorączkowy dzień pracy dla jednych, wyczynów sportowych dla drugich, wyrzucania pieniędzy dla trzecich — jest skończony, jak również i mój feljeton...

NA KARNAWAŁ



Coś dla pań!... Najnowszy model sukni balowej, wykonanej w pracowni Tollmanna. Całość zrobiona z czarnego tiulu, z trzema falbanami u dołu. Do kompletu należą czarne, długie rękawiczki, również z falbanami tiulowemi.

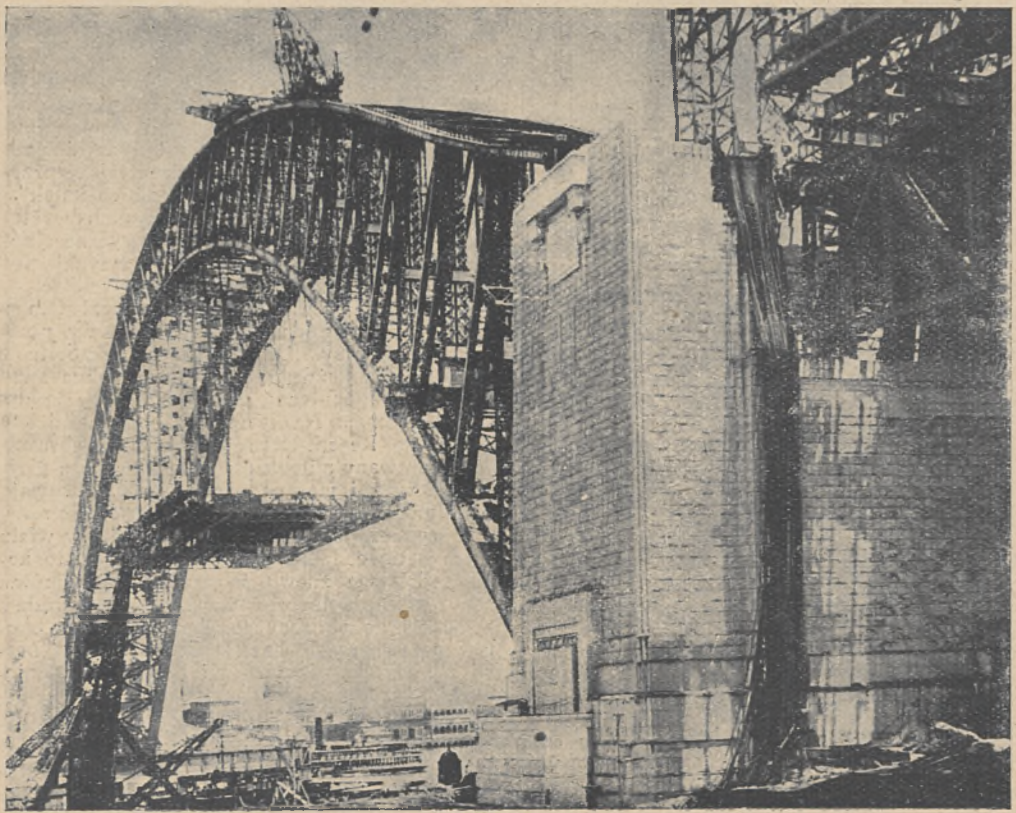


Z inicjatywy pana d'Herbemont, wprowadzono w Paryżu białe laski dla niewidomych, którzy przez wzniesienie laski do góry wzywają na pomoc przechodniów.



W tych dniach zmarł lord Melchett w wieku lat 62. Zmarły był przewodniczącym komitetu politycznego izraelitów i jeden z pierwszych wystąpił z interpelacją przeciwko publikacji „Białej Księgi" angielskiej o Palestynie.

Za cenę 6 miljonów funtów szterlingów wybudowano gigantyczny most w Sydney w Australji.



KAZIMIERZ KUKUCZ.

MIDWAY RYTHME

(RYTM W POŁOWIE DROGI.)

(Korespondencja własna z Paryża.)

Paryż, w styczniu.

To nie od dziś zapewne, nie w tym roku dopiero konstatujemy pewne zmiany w upodobaniach, w trybie życia. Są znaki, jak mówi poeta, na ziemi i niebie, jest coś co wisi w powietrzu na długo przed dokonaniem się, drażniące lecz niewiadome, uchwytne tylko dla wtajemniczonych. Lecz przychodzi moment, gdy jedna rzecz, jeden drobny szczegół rozrasta się do rozmiarów symbolu zrozumiałego dla wszystkich.

Ile to rzeczy poważnych można powiedzieć naprzykład z powodu jednego tańca... Ale nie rezonujmy mgliście, mówmy do rzeczy.

Dowiedźcie się zatem, że Londyn już tańczy, a Paryż uczy się tańczyć tej zimy nowy taniec „Midway Rythme" — Rytm w połowie drogi. Jest to w istocie rzeczy taniec pośredni, przejściowy, ani zbyt szalony i gwałtowny, ani zbyt senny i powolny. Coś w połowie drogi, coś w środku między przyśpieszonym foxtrottem, a rozlewnym bluesem. Rytm tańca zwolniony, rytm życia też.

Bylibyśmy więc w połowie drogi między czemś, co zamiera, a czemś... co ma przyjść.

Być może czujemy wszyscy, od dłuższego lub krótszego czasu, że coś zapada się, coś ginie w nas i dookoła nas. To życie w latach, które przyszły po wielkiej wojnie, gdy wszystkie zuchwalstwa i wszystkie szaleństwa stały przed nami otworem, mija już lub znaczy się przystankiem. Przez szereg lat upijaliśmy się życiem, nie bacząc i nie pomnąc na nic, ogarniała nas szaleńcza gorączka i frenezja wyżywania się. Jazz i coctail były znamieniem naszej epoki. Epileptyczne tańce, w rozdzierającym potopie dźwięków, któremiśmy się zachwycali. Charleston! Jeszcze przed trzema laty charleston rozsadzał wszystkie posadzki dancingów paryskich. Dziś słuch o nim zaginął, a wraz z nim kończy się to coś huczącego, szalonego, rozwydrzonego aż do anarchji, rozpędzonego z szybkością 100 kilometrów na wirażu. Żyliśmy w jakimś jarmarcznym rwetesie, w którym wszystkie nasze myśli, idee, sumienia były nieustannie wstrząsane i mieszane jak alkohole w puszce coctailu, jak charleston przy dźwiękach jazzu był szeregiem podskoków, uderzeń, wstrząsów.

Nic również nie charakteryzuje lepiej niż jazz i coctail naszej polityki, naszej literatury, malarstwa, muzyki okresu powojennego, który jeszcze trwa, ale być może zapada się już w głąb. Dla wszystkich szaleństw otwarta była droga, wszystkie zuchwalstwa uchodziły płazem.

Otóż to życie i te lata. które dla jednych były pierwszą młodością, dla innych zaś być może drugą, lub nawet trzecią młodością, już nas nie nęci. Nie chcemy już więcej! Zanurzamy głowy w zimnej wodzie, jak po alkoholowem oszołomieniu. jak po nocy spędzonej na szaleństwie, jak po koszmarnym śnie. Tempora mutantur et nos mutamus in illos.

Lecz to, co przyjdzie, czy wiemy co? Czy jest to nabieranie oddechu do nowego szału, czy powrót w karby porządku, umiarkowania i powściągliwości?

Narazie tańczmy Midway. Suknie wydłużyły się, obcięte włosy odrastają, powrócił walc, muzyka gra „Nad modrym, pięknym Dunajem" i nawet Józefina Baker na deskach „Casino de Paris" daje nam dziś lekcje taktu, finezji, umiarkowania i sentymentu.

Jeśli nie można twierdzić, że ten stan umysłów i te nastroje w zwolnionem tempie odnoszą się czy obowiązują wszystkich ludzi i wszystkie kraje, jest niemniej faktem, że nasz świat dzisiejszy podlega prądom falowym, które, jak elektryczność rozchodzą się po całym globie. To co drży w atmosferze w Paryżu i Londynie, wibruje i w Berlinie i w Warszawie, a nawet w Moskwie. Jest więc na naszym globie poczucie, że coś się przełamuje, jest niepewność jutra, jest potrzeba skupiania się w sobie indywidualnego i zbiorowego, w oczekiwaniu czegoś nowego, czegoś niewiadomego. Beztroska, swoboda, pewność, że jutro nie będzie gorsze niż dziś, nie jest już z tego świata. Pracuje się więcej niż przedtem, porządkuje się własny dom i sprawy publiczne, oszczędza się siły na chwilę ważną, decydującą.

Cyklon „Iskry"

Wielkie burze oceaniczne, zwane cyklonami lub tajfunami, spowodowane są zazwyczaj różnicą temperatury, wielkim spadkiem barometrycznego ciśnienia i ruchem obrotowym wielkich mas powietrza, wsysających się w wytworzony niż.

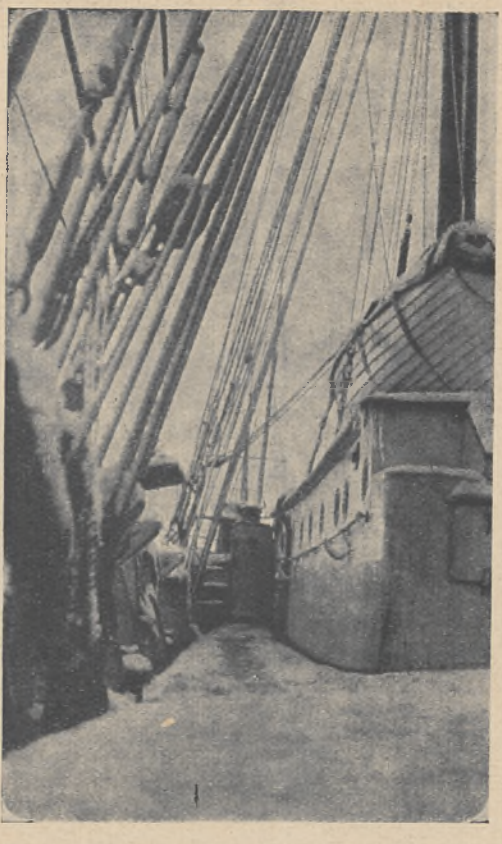
Cyklony północnej półkuli kręcą się w lewo, południowej w prawo. W jednym i w drugim wypadku przedstawiają płaską spiralę, kręcącą się podwójnym ruchem: w miejscu (ruch obrotowy) i w przestrzeni (ruch podróżny). Albowiem cyklony podróżują po linji krzywej, którą można obliczyć i której wypukłość jest zawsze zwrócona ku zachodowi.

W centrum cyklonu znajduje się strefa pozornego spokoju, gdzie masy powietrzne dążą do wzniesienia się wzwyż (jakby w kominie) i gdzie ciśnienie barometryczne jest zwykle bardzo niskie. Notowano cyklony, podczas których barometr spadał do 715 a nawet 708 milimetrów.

Wichry cykloniczne osiągają niekiedy szybkość 50 — 60 metrów na sekundę. Sam zaś cyklon podróżuje z szybkością około 30 km. na godzinę. Ruch wirowy jest oczywiście odwrotny po obu stronach strefy pozornego spokoju. Dlatego też okręt znajdujący się pośrodku cyklonu, gdzie morze, atakowane przez wiejące z przeciwnych kierunków wiatry szaleje i wypryskuje niebotycznemi falami, bywa zwykle w bardzo niebezpiecznem położeniu. Położenie to jest dla żaglowca stokroć groźniejsze, niż dla parowca, gdyż w strefie pozornego spokoju, nie mając wiatru w żaglach — nie sposób sterować. Z drugiej zaś strony, ujść przed cyklonem jest dla żaglowca rzeczą bardzo trudną. Nie można iść z wiatrem, bo wiatr kręci się i niezawodnie wpędzi okręt w środek powietrznego leja. Więc trzeba bardzo ostrożnie starać się iść po stycznej do kierunku wiatru i odejść możliwie najdalej od straszliwego środka.

Przyczyną cyklonów, lub jak je nazywają na morzach chińskich tajfunów, są prądy powietrzne, powstające w pewnych ściśle określonych miejscach globu ziemskiego, na skutek gwałtownej różnicy temperatur. Cyklony zdarzają się najczęściej w okolicach Antylli, na Oceanie Indyjskim, na wodach australijskich, chińskich i japońskich. Można ściśle określić porę roku (zawsze ciepłą), w której mają miejsce, jak również kierunek, w którym się posuwają. To też spostrzegłszy nagły spadek barometru i zmianę kierunku wiatru, kapitan, może wykreślić krzywą cyklonu i w ten sposób starać się uniknąć grożącego niebezpieczeństwa.

Wymiary cyklonów wynoszą naogół kilkaset kilometrów średnicy, przyczem, strefa środkowa pozornego spokoju ma zwykle od 20 do 40 km. Wysokość wiru powietrznego dochodzi do 4.000 metrów, czyli, że cyklon jest raczej wirem spłaszczonym. Dlatego też na południowym Atlantyku cyklonów niema, albowiem Kordyljery i Andy — jedne z najwyższych na świecie gór (około 7.000 metrów) nie przepuszczają wędrujących mas powietrza.



Pajęczyna ożaglowania „Iskry" w zimie zasnuta jest puchem śnieżnym. (fot. Antoszewicz).

Spustoszenia sprawiane przez cyklony są straszliwe: zniszczone plantacje, drzewa wyrwane z korzeniami, zrujnowane budynki, zatopione okręty, zerwane tamy, miasta całe w gruzach. W roku 1900, podczas cyklonu, który nawiedził Texas (w Ameryce Północnej), wyrwana ze stropu potężna belka przebiła na wylot pień olbrzymiego drzewa, a chaty i stajnie fruwały w powietrzu kilkusetmetrowemi skokami.

I oto jeden z takich cyklonów spotkał na Atlantyku „Iskrę" — polski żaglowiec szkolny, mający na pokładzie młodszy kurs szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej.

*

16 sierpnia, opuszcza „Iskra" Newport, w Stanach Zjednoczonych. A w cztery dni później barometr zaczyna gwałtownie spadać. 750 — 746 — 742 — skoki są niemal widoczne gołem okiem. Strzałka spada z szybkością czterech do pięciu milimetrów na godzinę. Wiatr wzmaga się i wykazuje wyraźne tendencje obrotowe.

Zaledwie załoga zdążyła skrócić żagle, cyklon nadbiega. Chwyta „Iskrę" w swe mocarne objęcia i jak korek pędzi poprzez rozszalałe fale. Barometr spada w dalszym ciągu: 740 — 738 — 736. Dowódca „Iskry" — kapitan de Walden, stojąc przy kole sterowem, ledwo może porozumieć się z oficerem wachtowym por. Konarskim. Taki rwetes i szum jest w przestworzu.

Godzina mija za godziną, a wiatr rośnie. Fale przewalają się przez pokład, sięgając niemal masztów. Pod zmniejszonemi do minimum żaglami „Iskra", odważnie stawia czoło żywiołom. Kapitan de Walden od samego początku tkwi na pokładzie, spokojny a czujny. Każdy rozkaz musi wrzeszczeć po trzykroć w ucho swych podwładnych, albowiem ryk wichru i szum fal stają się iście piekielne. Barometr spada na 731.

Naraz wiatr słabnie. Za to fale stają się chaotyczne, skotłowane, niemal niebosiężne. To środek cyklonu. Fatalna strefa pozornej ciszy. Widać to i po barometrze, którego strzałka w oczach przeskakuje z miejsca na miejsce.

Obawiając się, że żagle, pozbawione wiatru, opadną i okręt przestawszy sterować obróci się bokiem do fali, poczem zostanie wywrócony i zdruzgotany na miazgę, kapitan de Walden rozkazuje uruchomić motor pomocniczy. Upływa długich jak wiek dziesięć minut i wreszcie błękitny dymek ukazuje się u burty „Iskry". Jedyny znak, że motor pracuje, albowiem, głośne zazwyczaj wybuchy, giną zupełnie w piekielnym koncercie żywiołów.

Wiatr jednak, wbrew regule, nie zcicha zupełnie, a tylko zmniejsza się cokolwiek. Zaś nieco później, przychodzi oczekiwane z niepokojem uderzenie z przeciwnej strony.

Nurzająca się w falach „Iskra" przyjmuje je odważnie. Ale jest to widać niebezpieczna półkula cyklonu, albowiem to, co się dotychczas

(Dokończenie na str. 43-ciej.)



Karykatura hiszpańska d-cy „Iskry" kapitana de Walden.

Poeci, którym nie można odmówić często wieszczych przeczuć, lubią opisywać, że gdy nad światem zawisa zagadka i nie brak oznak niebezpieczeństwa, namiętności ludzkie ściszają się i temperują, ogarnia nas potrzeba spokoju, równowagi, umiarkowania — tem więcej, im bardziej wypadki zewnętrzne, niezależne od woli ludzkiej prą do wybuchu. To tak, jak w naturze, gdy robi się cisza przed burzą, ptactwo zamilka, zwierz chroni się do kryjówek. Jest pogoda jeszcze i spokój, słońce świeci jaskrawo, ale jakoś fałszywie, na niebie pojawiają się krzyże płomieniste.

A więc w połowie drogi między jedną wojną... a drugą?

Nie wiem, jak w Warszawie, ale w Paryżu pojawiają się krzyże płomieniste w postaci ciągłych pogłosek o bliskiej, jakby nowej pożodze. Jest pogoda, jest dobrobyt, jest obfitość wszelakich dóbr, lecz jest także ograniczanie się, powrót do umiarkowania i ciszy, moda na nutę powściągliwości i melancholji, podczas gdy w powietrzu wibruje jednak coś nieokreślenie niepewnego. I zapewniają nas z drugiej strony, że Amerykanie, powracający z Europy, opowiadają u siebie, że lada chwila rzucimy się jedni na drugich, by wyrwać się z pęt niepewności, kryzysów, krachów.

Lecz wszystko to być może są brednie...

Jeden z wytrawnych obserwatorów życia, obyczajów i historji odnalazł sekret ewolucji ludzkości, zauważywszy, że wielkie zdarzenia historyczne poprzedza zazwyczaj nieproporcjonalnie wielki wzrost wymiarów... kapeluszy damskich. Były ogromne kapelusze i fryzury u schyłku XVIII wieku, były kapelusze — „kabrjolety" za rewolucyjnego francuskiego Dyrektorjatu, były „meksykańskie" nakrycia przed rokiem 1830, były wreszcie olbrzymie ronda przed 1914...

I dlatego, jak długo kapelusze naszych towarzyszek nie będą rosły wszerz lub wzwyż, nie mamy się czego obawiać. A tymczasem tańczmy „Midway Rythme"...

EUSTACHY CZEKALSKI.

Aforyzmy i dobrane małżeństwa

Aforyzmy, nie zawsze ujmują należycie sens ludzkich przeżyć. Niekiedy jednak rzucają snop ciekawego światła na ludzi, którzy je wygłaszają. Urocza dama, w wizytowej, czarnej sukni, rzuca przy likierze od niechcenia lekkie, ulotne zdanie:

— Lubię rzeczy bez sensu. Robią mi największą przyjemność!

Czy słowa te są bez znaczenia? Zwykła, towarzyska paplanina, ginąca, jak kurz na drogach życia, a może refleksja, kryjąca gorycze zawodu? Nie wgłębiajmy się zbytnio w mgłę słów — spójrzmy w życie.

Któż jest ta urocza pani, w czarnej, pajęczej sukni? Ile ma lat? Cóż za pytania natarczywe, obelżywe dla kobiety w pewnym wieku, a o zalotnym uśmiechu, niewątpliwej inteligencji? Reprezentuje ona jedno z dowcipniejszych piór. Sawantka, niezależna, wrażliwa na uroki myśli, przez wiele lat, jakgdyby stroniła od hymenu. Mawiała zawsze o niewolnictwie kobiet — mężatek. Brawurowała swą wyzwoloną, prawie męską dezinwolturą osobistego życia. Trwało to do chwili, gdy mimo potów, spacerów, soli karlsbadzkiej, kształty jej zaczęły się coraz bardziej zaokrąglać, uwypuklać. Dumna ze swego eleganckiego, kawalerskiego mieszkania, jeszcze przed niedawnem chwalczyni swej samotności, rozkosznej „splendid isolation", coraz częściej wspominała, iż dobrze jest mieć przy sobie choćby rasowego pekińczyka, kota, nie mówiąc o... mężu. Przyjaciele mieli wiele zalet. Dostarczali dużo ciekawych wrażeń. Mimo wszystko nie mogli zastąpić tej pogardzanej osobistości, czy przedmiotu pierwszej potrzeby, za jaki uważała mężczyznę — męża. Ambitna, przeczulona, nie formułowała zbyt jasno zmian, zachodzących w jej psychice. Wolała dalej rzucać żartobliwe aforyzmy. Kryła się za niemi, przesłaniając narastające, nowe, osobiste życzenia, pragnienia. W gronie swoich znajomych i przyjaciół chadzała na dancingi, towarzyskie herbatki, odwiedzała teatry rewjowe, koncerty.

Lubiła poobiednie zebrania w „Europie". Nastrój tu panował nie tak zuchwały, jak w innych tańcujących salonach. Upodobała sobie szczególnie niejakiego pana Genia, młodzieńca o dokładnie rozczesanym przedziałku na głowie, zgrabnego, dobrze tangującego. Co pozatem robił? Czy w towarzystwie wypada pytać, kto, czem się zajmuje? Pan Genio, podobno, studjował na politechnice. Bliżej te studja nie dałyby się określić, jak wogóle osoba dosyć przystojnego młodzieńca. Był zawsze przyzwoicie ubrany, kołnierzyk lśnił świeżością, miał w portfelu luźną dwudziestozłotówkę, co na człowieka, natychmiast po odbyciu służby wojskowej, może uchodzić za zamożność. Nikt nie zgłębiał przecież, skąd ma dochody i jakie! O interesach swoich i zajęciach nie mówił. Za to nie skąpił paniom zachwytów. Im była leciwsza, tem słowa jego nabierały coraz gorętszej barwy. Przypuszczać należy, iż czynił to w prawdziwej adoracji. Nigdy nie wyrwał się z określnikiem zbyt jaskrawym. Potrafił znaleźć odpowiednie słowo do wyznania swoich uczuć. Należy to zapisać na korzyść jego niewątpliwych planów życiowych. Wieluż ludzi rozumnych, energicznych, wartościowych, nie może dać sobie rady z tą prostą rzeczą? Wyrywają się z nieopatrznym frazesem ni przypiął, ni przyłatał, a później tego żałują.

Pan Genio, niczego nie potrzebował tuszować, zacierać, ze swoich odezwań. Trafiały one celnie i, rzecz dziwna, wywoływały nieraz rezonans zupełnie fantastyczny. Można było dosłuchać się jakichś brzmień głębszych, uczuciowych. Czyż można więc źle sądzić panią Ludę, że rozmarzyła się nadobre, gdy podczas tańca wyszeptał jej do ucha:

— Kocham panią! Żyć bez niej nie mogę! Czekam na słowo pani, jak na wyrok. Coby to była dla mnie za szczęście, gdybym mógł nazwać panią moją żoną!...

Pani Luda, dama w czarnej, lekkiej, jedwabnej sukni, szeroko otworzyła oczy. Nie odpowiedziała na razie, pilnując rytmu tańca. Rozmowę skierowała na inne tory. Pan Genio był jednak wytrwały. Wiedział z doświadczenia, iż nie odrazu Kraków zbudowano. Przy sposobności powtórzył znów dyskretnie swoje wyznanie. I tym razem nie uzyskał oczekiwanej odpowiedzi. Nie ccfnął się. Po kilkunastu próbach inteligentna, mądra kobieta sentymentalnie oświadczyła:

— Czy się pan zastanowił? Przecież jest między nami duża różnica wieku!

— Cóż to szkodzi! Będę nad wyraz szczęśliwy... — Nie dopowiedział swojej myśli. Rzucił się do rąk p. Ludy. Przypuszczał, iż przyszła oczekiwana chwila, by wygrać walną bitwę. Zawiódł się. Pani Luda, z przyjemną mgiełką w oczach, zażądała ślubu. Była to niespodzianka dla Genia. Mówił o ślubie, bo należy to do akcesorjów. Żadna z pań dotychczas nie wymagała od niego tego rodzaju wyczynów. Zwykle, nad ranem, kończyli w objęciach upojny wieczór miłości. Genio starał się składać dowody niezwykłości swego temperamentu. Wywoływał obłudne zawstydzenie. W oczach błyszczał gorący szept: „Jeszcze troszeczkę!"

Nie było jednak rady: zdeklarował się, poszedł przed ołtarz. Przedtem dokładnie zbadał stan uposażeniowy swojej narzeczonej, obejrzał dokładnie mieszkanie. Po ślubie wprowadził się natychmiast i... rozpoczął poszukiwanie posady. Jako młodzieńcowi proponowano stanowiska na trzysta, czterysta złotych, co dalekie było od ideału p. Ludy, a tembardziej jego. Zakochana, pragnęła dla niego stanowiska ministra, generała, dyrektora banku. Miał kwalifikacje na skrybę, fortancera, subjekta. Stał się więc odrazu w jej oczach istotą... wyższą, a niezrozumianą. Dostawał od żony wikt, opierunek, gotówkę do portfelu. Wzamian... pozwolił, że z jej biletów wizytowych zginęło zupełnie godne, panieńskie nazwisko. Wśród towarzystwa żartowano sobie cokolwiek teraz z pani Geniowej Foglikowej.

By utrzymać w równowadze finanse, dobrała kilka godzin lekcyj, zwiększyła swoją działalność pisarską. Pan Genio dancingował w „Europie", w „Bristolu", w „Oazie", zawsze świeżutki, wyszczotkowany, wyprasowany. Byłaby mu nie przeszkadzała w tych jego zamiłowaniach, gdyby nie upodobania koleżeńskie. Zapraszał do siebie, na bridża, różnych restauracyjnych kolegów; przy sposobności popijano cokolwiek. W małem mieszkaniu robiło to różnicę p. Ludzie, zapracowanej, zalatanej, szukającej w domu wypoczynku i ciszy. Upragniony mąż dezorganizował jej ciągle życie. Wystarczyło jednak, że wyciągnął do niej ramiona. Chmury ginęły. Znów świeciło słońce!

Aliści przebrała się miara. Sprowadził ze sobą i damskie towarzystwo. Zabawiano się, grano w karty, gdy w miłą, beztroską atmosferę padła bomba. Pani Luda, zmęczona, zła, oświadczyła wręcz:

— Proszę uprzejmie pozostawić nasz dom w spokoju. Mamy tak małe mieszkanie. Proszę państwa przenieść się gdzieindziej z zabawą...

Nadąsani, rozżaleni, nadrabiając miną, opuścili godne mieszkanie p. Ludy. Genio powstrzymywał się, lecz ledwie wyszli, wybuchnął:

— Wymawiam sobie takie traktowanie moich gości.

Próbowała łagodnie tłumaczyć:

— Wiesz przecież, że wracam z pracy...

— Tyle razy byli i nie protestowałaś...

— Zawsze byłam niezadowolona.

— Nie mówiłaś mi tego! Nie widzę powodu do robienia innym przykrości...

— Proszę więc na przyszłość, nie zapraszaj mi tych pań...

— Ach, chodzi ci o te panie! Przyznaj się, że jesteś zazdrosna...

— Jesteś niemądry, mój Geniu...

Djalog tego rodzaju trwał jeszcze z godzinę. Ostatecznie jakoś ułożono się do snu. Ranek obudził lepszy, korzystniejszy nastrój dla Genia. Nie nadługo. Wrócił do domu, w kilka dni później, dobrze pijany, ale jeszcze trzymający się na nogach, rozzuchwalony alkoholem. Usłyszał od pani Ludy:

— Nie lubię mężczyzn pijanych!

Uwaga ta zrodziła burzę. Pan Genio zapomniał o swoich dobrych manierach i uderzył żonę dotkliwie przez plecy. Oddała mu. Wywiązała się ordynarna bójka, krzyk, awantura. Trudnoby dociec sensu wszystkich wymysłów, złośliwości, bezeceństw, jakie na siebie rzucali. Pani Luda zamknęła mężowi przed nosem sypialnię. Usnął na krześle, lecz spadł na dywan i tak przespał do rana.

Poranek napełnił mu głowę wieloma pomysłami: rozważał, czy się obrazić, czy też uderzyć w



pokorę. Wybrał drogę pośrednią. Gdy ujrzał panią Ludę, niby zawstydzony, wyznał:

— Bardzo przepraszam, że wczoraj upiłem się. Wierz mi: ze zmartwienia, z zazdrości. Widziałem cię na ulicy Mazowieckiej z profesorem Filatowiczem. Proszę cię, nie rozmawiaj z nim więcej, unikaj go!...

Pani Luda w pierwszej chwili oniemiała. Tak naiwne, i przewrotne, i ordynarne były te słowa. Patrzył na nią jeszcze swoim męskim, rozbrajającym wzrokiem. Odrzekła więc:

— Cóż to za nowość?!

— Proszę, unikaj profesora Filatowicza. Jestem o niego zazdrosny... — powtórzył miękko. Gorący timbre głosu dokonał reszty. Zawiązała się znów nić porozumienia. Genio, rozczulił swoją miłością starzejącą się już kobietę.

I pomyśleć: mąż jest o nią zazdrosny!!! Plotka towarzyska rozsiewa wieści, iż pani Foglikowa od tej pory nieraz była zmaltretowana, zbita przez głupowatego, młodego męża. Inteligentna kobieta milczy o swoich przeżyciach. Cóż ma czynić?

Nie uogólniajmy jednak faktów. Trzymajmy się wydarzeń, rejestrowanych przez życie. Może są one mniej pociągające od błyskotliwych, dowcipnych, ironicznych koncepcyj jakiegoś beletrysty. Nasuwają jednak pewne myśli, może niesprawiedliwe, złośliwe w stosunku do mądrej, wrażliwej na wdzięki inteligencji, damy w czarnej, wizytowej sukni! Czy to nie jest urocze, gdy rzuca od niechcenia, przy likierze, lekkie, ulotne zdanie:

— Lubię rzeczy bez sensu. Robią mi największą przyjemność.

65-lecie Rudyarda Kiplinga

Londyn, w grudniu.

W samotni swej — w Bateman — wielki pisarz angielski, Rudyard Kipling, obchodził w ub. miesiącu 65-lecie swych urodzin.

Zasypano go telegramami, liczni wielbiciele usiłowali dotrzeć do niego osobiście — lecz wszystko napróżno.

Kipling zaciął się — i nikogo nie przyjął, jak zwykle to czyni od 20-tu lat. Widziano go, podobno, w tym dniu uroczystym w towarzystwie jedynego człowieka, z którym lubi rozmawiać, a jest nim — o dziwo! — emerytowany robotnik drogowy, niejaki William Lavender — głuchoniemy.

Czy poruszył w tym dniu wielki poeta lata dziecinne, które spędził w Bombayu, tak różnym wówczas od obecnego, skąd ku zgrozie Kiplinga promieniuje dziś irredenta nacjonalistów indyjskich? Czy mówił mu o pierwszych krokach na polu piśmiennictwa, które stawiał w Lahore, w redakcji „Civil and Military Gezette", nerwowo zapełniając szpalty pisma i rozchlapując dookoła siebie atrament? Czy może o pierwszej swej książce, wydanej w Bombayu, za którą otrzymał skromne honorarjum, nie przenoszące 1000 zł.? Lub może o akcji, którą prowadził podczas wojny boerskiej, wyrzucając gnuśność swym rodakom? Lub o wojnie światowej, podczas której stracił syna?

Można przypuszczać — bo któż to zdoła sprawdzić, skoro „rozmówcą" jego był głuchoniemy — iż laureat nagrody Nobla, Kipling, wypowiadał swe żale, oskarżając współczesną Anglję i zarzucając jej zbytnią chwiejność w polityce dominjalnej. Bo pragnąłby natchnąć swoich rodaków duchem wojującego imperjalizmu który w dzisiejszej dobie przestał być *en vogue*. Przynajmniej w otwartej formie.

Można przypuszczać, że o tem mówił solenizant, gdyż, jak twierdzą ci nieliczni, którzy podpatrzyli tę scenę, Kipling wyrzucał z siebie potok słów i gestykulował zawzięcie przed nosem swego głuchoniemego słuchacza...

(g.)



Karykatura Rudyarda Kiplinga.

Posylwestrowe refleksje...

W tej chwili właśnie, kiedy uporządkowawszy jako tako wrażenia z prasy noworocznej, usiłującej wpoić choć trochę otuchy na przyszłość — postanowiłem odpocząć przy aparacie radjowym, przyszła mi do głowy myśl niewczesna „złapania" Rosji. I trafiłem, niestety, (a nie trudno to było przewidzieć) na uroczystą akademję.

„Towarzysze! — ryczał jakiś mówca. — Doczekaliśmy się zwycięstwa. Cały świat patrzy na nas z podziwem... Oto rezultaty naszych wysiłków... Proletarjat budzi się do czynu we wszystkich krajach... *Da zdrawstwujet!...* Burżuazja bez wyjścia... Kapituluje... *Dołoj!...*"

I tak dalej, bez końca — okrzyki, przeplatane cyframi, a choć wszystko, jak to zwykle bywa na akademjach, nacechowane było sztucznością, tchnęło jednak szczerą radością i optymizmem. Bo, niestety, — a mam dane, aby móc tak twierdzić — sowieccy satrapi i zwarjowani ich ekonomiści mogą się radować. Zwłaszcza wobec sytuacji międzynarodowej, która nastręcza aż za wiele refleksyj...

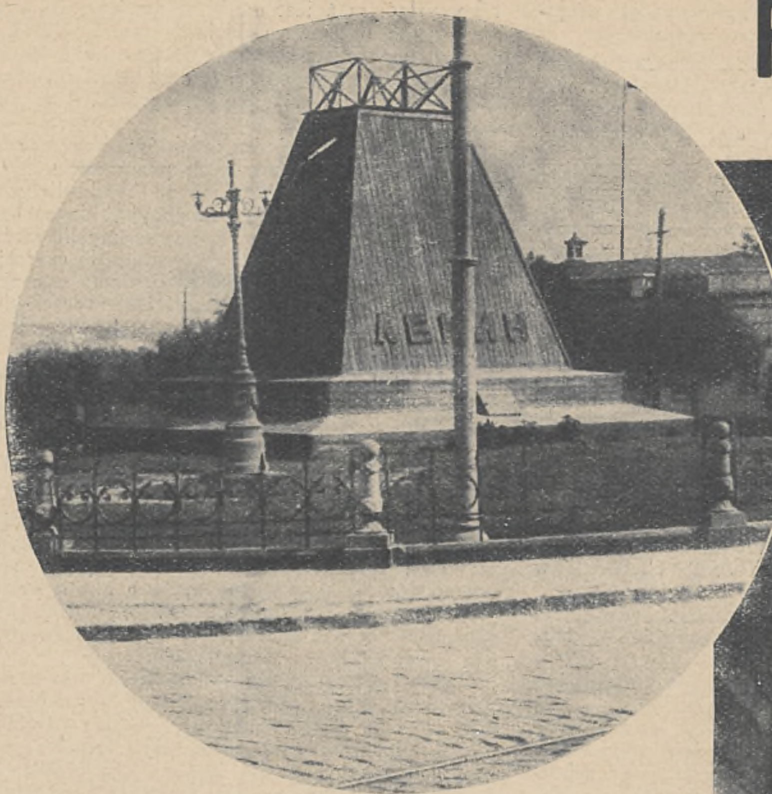
*

Zdanie o kryzysie, który przeżywamy w obecnej dobie, stało się frazesem ogólnie powtarzanym, nie wszyscy jednak zdają sobie sprawę, jak wielce zagmatwaną jest sytuacja na całym świecie. Bezustannie odbywające się konferencje międzynarodowe napróżno usiłują rozwikłać ten węzeł, który tembardziej się zacieśnił, iż wszystkie niemal sprawy, lokalnie niegdyś, przed wojną światową, obchodzące ten lub inny kraj, przenoszą się dziś odrazu na forum ogólne. Kryzys polityczny i tarcia ideowe splotły się nierozłącznie z coraz bardziej potęgującym się kryzysem gospodarczym. W ogólnym zamęcie w niwecz obracane są uczone teorje ekonomistów i zawiłe praktyki dyplomatów. Wszystko się wali — zwłaszcza, że i my wszyscy dokładamy do tego starań, gdyż operując półśrodkami, usiłujemy tylko zepchnąć ciężar na barki sąsiada, mimo, że jednako dążymy do wspólnego celu, i że zdajemy sobie sprawę z tego, iż czas jedynie zdoła zabliźnić ziejącą od r. 1914-go ranę. Dobra wola i wzajemne zaufanie — oto zdawałoby się kliniczne warunki, bez których niepodobna usunąć choroby. A jednak... Coraz gorzej się dzieje, zwłaszcza jeśli zważyć, iż głównie szwankuje odżywianie chorego organizmu świata, dzięki naruszeniu podstaw gospodarczych i najpewniejszych doktryn ekonomicznych. Oto naprzykład — paradoks, nad którym głowią się najtęższe umysły, przyrost ludności i wzrost produkcji, bynajmniej dziś już nie idące w parze, gdyż nietylko, jak tego obawiał się ongiś Malthus, nie braknie przedmiotów pierwszej potrzeby, lecz jest ich nadmiar, ceny spadają katastrofalnie i produkcja przestaje się opłacać. Krach następuje za krachem. Fabryki zamykają swoje podwoje. Fala bezrobocia wzmaga się z każdym dniem. Oto weźmy Kanadę, gdzie cyfra bezroboczych dosięgła 25 proc. ogólnej liczby związkowych robotników. W ciągu jednego roku ilość upadłości w Stanach Zjednoczonych podniosła się o 46 proc., obniżono płace o 28 proc., produkcja bawełny spadła o 37 proc., stali o 35 proc. i t. d. i t. d. — na całym świecie.

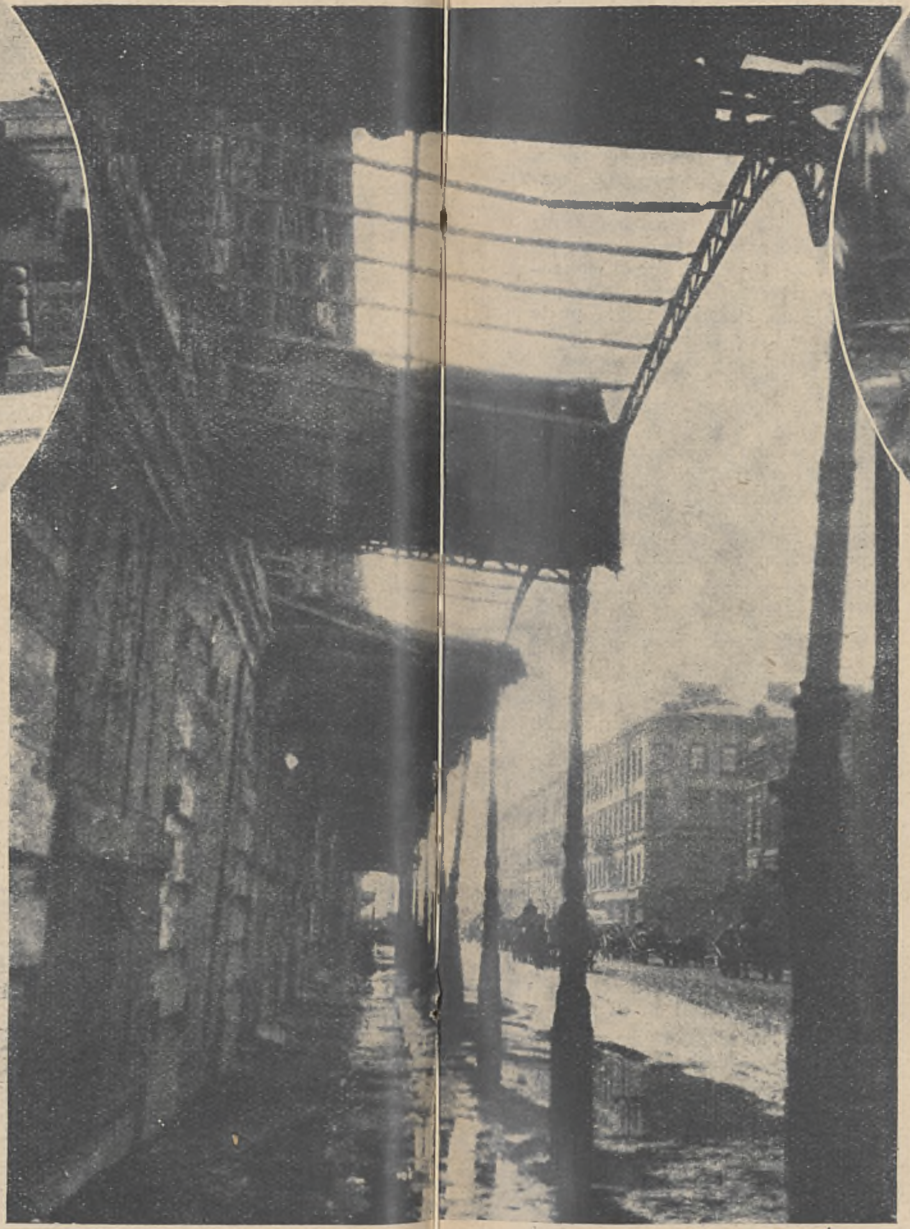
*

Tem donośniej rozległy się wśród ogólnej tej konsternacji fanfary naszych wschodnich sąsiadów. Bo jeśli zakreślając w r. 1928 szalony plan odrodzenia gospodarczego Rosji w ciągu pięciu lat — nie zdawali sobie sprawy z wyników, które mogą osiągnąć w dziedzinie stosunków międzynarodowych, to dziś, po paru latach nadludzkiej walki i przełamaniu piętrzących się trudności, kroczą naprzód, natchnieni mistycyzmem, ufni, że spełniają jakieś posłannictwo o światowem i epokowem znaczeniu. Odnosi się to oczywiście do pokoleń młodzieży, wychowanej w ogniu rewolucji, Starsi ludzie, posłuszni, gdyż ujarzmieni bezwzględnie stosowanym terrorem poddali się losowi, a jeśli tu i owdzie wybuchnie garstka — krwią przypłaci ten zuchwały protest i znów zamilknie ten dziwny kraj wszelkich możliwości.

Plan „piatiletki" i dotychczasowe wyniki jego realizacji są istotnie zdumiewające. Weźmy, naprzykład, cyfry odnoszące się do rozwoju siły mechanicznej, którą miano podnieść z 13.930 kilow.-godzin do 36.500 kilow.-godzin. Produkcja ropy miała wzrosnąć z 11 milj. tonn do 21 milj.; węgla — z 34 milj. tonn do 75 milj. i t. d. Ilość robotników, zatrudnionych w przemyśle projektowano podnieść z 2.600.000 do 15.250.000 Na wszystko zaś przeznaczono olbrzymi kapitał 100 miljardów rubli.



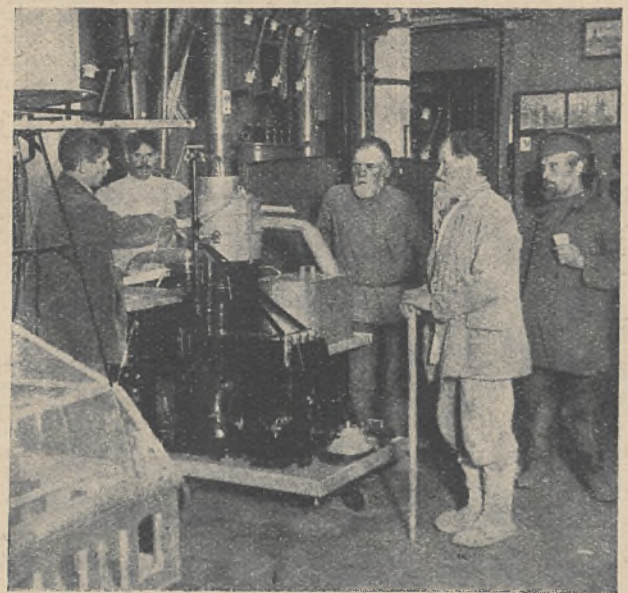
Mauzoleum ku czci twórcy współczesnej Rosji, Lenina w Sebastopolu.



Newski-Prospekt... Ktokolwiek zna przedwojenny Petersburg, nie uwierzy, być może, iżby trzynaście lat panowania bolszewików mogło doprowadzić do podobnego stanu zniszczenia słynną z przepychu północną metropolję. Ale nie o to chodzi. Choćby na gruzach miast miały zalegnąć zwały trupów, postanowiono zwyciężyć. Coute que coute. I kosztem nadludzkich wysiłków przystąpiono do realizowania gigantycznego planu „piatiletki" — obudzenia kraju z letargu i pchnięcia narodu na drogę podboju całego świata. Budowanie i szał destrukcji — ot tak sobie, w parze... Czemu nie?... W tym kraju wszelkich możliwości...



Ofiary regime'u, nędzarze ze sfer dawnej burżuazji wyprzedają resztki swego dobytku.



Obok rzeczy budzących szczery podziw, jest w Rosji aż za wiele tragiczny zjawisk, a niektóre zaś są poprostu komiczne. Oto naprzykład scena propagandy elektryfikacyjnej na wsi. Analfabeci słuchają wykładów technicznych, jak o „żelaznym wilku"...



Propaganda... propaganda... wszędzie i wszelkiemi drogami. Oto grupa młodych robotników przy czytaniu gazety — obrazek, który rzadko można było spotkać w przedwojennej Rosji. Szpalty gazet zapełnione są, oczywiście, materjałem propagandowym.

Co się okazało? Oto, rozkładając, naprzykład, to zawrotne tempo na 5 lat, najśmielsi projektodawcy przewidzieli na okres 1928-9 wzrost produkcji przemysłowej o 21,4 proc. — osiągnięto zaś 23,7 proc., uruchamiając 91 nowych zakładów, które dały obrót 168 milj. rubli. Cyfry za okres 1929-30 nie są jeszcze znane, dane wszakże za okres pierwszych miesięcy pozwalają przypuszczać, iż osiągnięto jeszcze lepsze wyniki, gdyż podwojono już niemal tempo produkcji w porównaniu z okresem przedwojennym (96,9 proc.).

Zbyt ciasne są ramy niniejszego artykułu, abyśmy mogli przedstawić dokładny obraz tego, co kiełkuje za czerwonym kordonem. Jednego wszakże nie możemy pominąć, to wyników osiągniętych w dziedzinie rolnictwa, jako najtrudniejszej do opanowania. Obszary uprawiane w r. 1928 przez „Sowhozy" a handlowo podległe „Ziernotrustowi", obejmują 1.200.000 ha — w r. bieżacym zaś mają być rozszerzone do 4.500.000 ha. Zbiory wyniosły 56 pudów z ha, a koszt produkcji spadł z 85 kop. w okresie 1928-9 do 50 kop. Nie gorsze wyniki osiągnięto w „Kolhozach" (ziemiach zkolektywizowanych), gdyż zbiory podniosły się z 44 pudów z ha przy dawnym systemie własności do 54 pudów.

Wiele da się zarzucić wynikom tej przyśpieszonej produkcji. Nie poruszając na razie strony socjologicznej zagadnienia, wykażemy przedewszystkiem brak odpowiedniego zastępu wykwalifikowanych pracowników. Dość powiedzieć, że zdaniem projektodawców, potrzeba sztabu nie mniej 1.200 000 inżynierów, podczas gdy liczba ich wynosi zaledwie 300.000, liczba zaś rolników razi jeszcze większą dysproporcją, sięgającą kilkunastu miljonów ludzi. Innym, nie mniej ważkim argumentem, jest gatunek wyrobów, ustępujący na całej linji produkcji zagranicznej. Nakaz — „byt po siemu" nie rozwiązuje w całej pełni sytuacji. Naród rosyjski wie o tem najlepiej.

*

Wszystko to może byłoby dla świata dość obojętne. Przynajmniej z punktu widzenia ogólno - ludzkiego, gdyby wszakże Rosja sowiecka, odgrodzona od innych krajów, chciała w spokoju i wewnątrz swych granic dokonywać dalszych eksperymentów. Lecz przecież wiadomo, że dzisiejsi władcy Rosji są jednocześnie przewódcami III-ej międzynarodówki, mającej na celu wzniecenie światowej rewolucji. Boć nie o to im chodzi, aby dzięki zrealizowaniu „piatiletki" poddany ich mógł cieszyć się większym dobrobytem i bynajmniej się nie łudzą, że mimo intensywną propagandę w kierunku rozwijania ambicji twórczej narodu, większość wolałaby zamienić swoje „zdobycze" na „nędzę" proletarjatu na Zachodzie i w Ameryce.

Niebezpieczeństwo stanu rzeczy za czerwonym kordonem polega na tem, iż akcja podniesienia gospodarczego Rosji prowadzona w żelaznych klubach bezwzględnej dyscypliny i pod znakiem terroru rozwija się pomyślnie w tej samej chwili, kiedy na całym świecie panuje chaos. Tem groźniejsze jest to zjawisko, iż wszystkie pojęcia — choćby najbardziej fałszywe — o życiu i o jego zasadach moralnych mają pewne nici, któremi się wiążą. A najgorsze wreszcie jest to, iż wszyscy, acz doskonale zdają sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa, nie mogą zająć wspólnego frontu, a w praktyce nawet utrzymywania stosunków z „krwawymi dobroczyńcami ludzkości", zbyt często zadają kłam wypowiadanym przez się enuncjacjom. Przykładem chociażby są Stany Zjednoczone, które, w imię sprawiedliwości, nie uznają de iure Sowietów (nota sekret. stanu B. Colby'ego z r. 1920-go) a zasilają je swemi produktami (zakupy sowieckie w r. 1929-m wyniosły 150 miljonów dolarów), oraz nabywają surowca po dumpingowych cenach, byleby pobić konkurencję.

er.





Z banku lokal gry — u wejścia do banku normalnego plakaty propagandowe niczem przed „bałaganem" — byleby złoto płynęło do kas rządowych.

Teresa Humbert, największa awanturnica w dziejach świata

(DOKOŃCZENIE)

Sprawa rozstrzyga się w grudniu 1895 r., przyczem Henryk Cravford przegrywa. Teresa Humbert znów wówczas składa podanie od trybunału, z żądaniem zezwolenia na podjęcie 9 miljonów franków, celem spłacenia braci Cravford i Marji Daurignac.

Zezwolenia tego udziela trybunał w maju 1896 r., tu jednak znów Cravfordowie wnoszą sprzeciw.

Proces przeciąga się lat 4, w końcu trybunał zatwierdza pierwszy wyrok. Świeży protest strony przeciwnej, po roku jednak dochodzi dó ugody: Teresa Humbert zwycięża i tym razem.

Komedja nie jest jeszcze skończona!

Cravfordowie, na wiadomość, iż p. Humbert obciąża masę spadkową hipotekami, ponownie żądają od sądu, unieważnienia prawa zarządu majątkiem.

Przez dwa dziesiątki lat trwania procesu, Teresa Humbert znakomicie wyzyskała sytuację. Wypożyczyła około 100 miljonów, w znacznej mierze od lichwiarzy, przedłużając protestowane weksle za 300 proc. wartości.

Nie pojmowali lekkomyślności tej kobiety, podpisującej bez mrugnienia powieki coraz to nowe zobowiązania.

Teresa stała u szczytu powodzenia, dopięła swego. Pałac przy Avenue de la Grande-Armée stał się ośrodkiem, w którym się skupiali najwybitniejsi ludzie, przez świetne salony Humbertów przewijały się tłumy.

Teresa ukazywała się na przyjęciach w niezwykle pięknych i kosztownych tualetach, u-rok jej wzrastał. Pan Humbert wybór swój do parlamentu w głównej mierze zawdzięczał swej żonie. Szczególnemi względami pięknej kobiety cieszył się narzeczony siostry, Paul Deschanel, którego Marja przez długie lata poprostu zwodziła.

Dwadzieścia lat życia nad przepaścią wymaga niezwykłej energji, opanowania i pomysłowości: każdej chwili, mimo mistrzowskich posunięć, zagrażała katastrofa. Ta zdolność prowadzenia przez długie lata podwójnego życia, czyni z osoby Teresy Humbert najzręczniejszą intrygantkę wszystkich czasów.

Komedja ze stalowym skarbcem.

Od czasu do czasu, Teresa dyskretnie demonstrowała „skarb", by wzbudzać zaufanie licznych wierzycieli. Przychodził taki pan, mający udzielić kredytu i lekko przebąkiwał o upewnieniach. Wówczas wprowadzano go do gabinetu, gdzie stała opancerzona kasa. Zdumionym oczom gościa ukazywano jej wnętrze, literalnie zapchane plikami papierów wartościowych, opakowanych, opatrzonych w wielkie czerwone pieczęcie.

W takich razach Teresa Humbert mawiała: „Oto część spadku". Ilość obligacji wzrastała z roku na rok, na mocy zawartych umów dochody z procentów zużywano na kupno coraz to nowych papierów wartościowych. Razu pewnego, Teresa Humbert wpadła na zuchwały pomysł skonfrontowania adwokatów obu stron, celem wręczenia ćwierci miljona franków, jako procentu, za które to pieniądze nabyć miano 3-proc. papiery państwowe. Adwokaci sumę podjęli, kupno zrealizowano, akcje w obecności dwóch notarjuszy dołączono do reszty w skarbcu.

Manewrem tym Teresa dowiodła światu niezbicie istnienia spadku.

Oszustka inicjowała cały szereg udatnych scen, by wciąż na nowo wpajać w ludzi wiarę w posiadanie olbrzymiego zapisu. Razu pewnego, szereg wybitnych osobistości, przechodząc po „diner" do salonu, mogło zauważyć przez „przypadkowo" odsłoniętą portjerę dwóch panów, z których jeden, odwrócony plecami, pomagał Romainowi Daurignac w sortowaniu akcyj, w naoścież otwartym skarbcu. Pani domu oznajmiła gościom szeptem: „To mr. Henry Cravford kontroluje zawartość kasy". Innym znów razem goście zastali córkę pani Humbert, Ewę, z ciotką Marją, przy obcinaniu i sortowaniu kuponów. Jak każda istota o wybitnej fantazji, Teresa Humbert, wkońcu sama uwierzyć musiała w wytwór swej fantazji, przyczem, nie trzeba zapominać, była córą południa. W związku z tem, na pamięć się przywodzi znana anegdota o „sardynce w porcie marsylskim". Pewien fryzjer pozwolił sobie zażartować ze swego klijenta. Podczas namydlania, opowiadał, z nader poważną miną, o potwornej sardynce, większej od wieloryba, która ułożyła się przy samym wjeździe do portu i nie pozwala zbliżać się okrętom. Namydlony klijent słuchał w zdumieniu opowiadania golibrody, poczem zerwał się z krzesła i pobiegł co sił w stronę portu. Fryzjer śmiał się, zadowolony z efektu. Po kilku minutach wyszedł przed dom, gdzie ujrzał mnóstwo ludzi, biegnących pędem. „Co się stało?" — pyta przestraszony. Ktoś z tłumu krzyknął: „Strasznie duża sardynka zamknęła wjazd do portu". Pobiegł i fryzjer. „A może to i prawda?" — myślał, zdyszany ze zmęczenia, lecz nie ustał w biegu.

Podczas rozprawy sądowej zachowanie Teresy wskazywało, iż wierzyła w wymyśloną przez siebie historję.

Po 20 latach przyszła katastrofa!

Kampanję rozpoczął „Matin": w szeregu ciętych artykułów napadał na oszustów spadkowych. Parlament zarządził śledztwo, ministerstwo sprawiedliwości wysłało okólnik do wszystkich adwokatów, którzy kiedykolwiek brali udział w licznych procesach Humbert — Cravford, o dostarczenie dowodów co do istnienia w Ameryce rodziny o tem nazwisku. Pewien wierzyciel zażądał od sądu otwarcia opancerzonej kasy stalowej. Istotę rzeczy miał już podówczas słynny adwokat paryski, Waldeck-Rousseau. Z polecenia klijenta telefonował do Nev-Jorku, w sprawie rodziny Cravford. Oczywiście, nic o nich nie wiedziano. Tego samego dnia, kiedy sławny adwokat dostał w swe ręce materjał, demaskujący oszustów, mianowano go prezesem ministrów. Na tem stanowisku nie wolno mu było wyjawić rzeczy, które znał, jako adwokat. Przyśpieszył jednak bieg wypadków: już nazajutrz sąd zarządził rewizję w pałacu Humbert. Za późno! Policja zastała puste gniazdko i opróżnioną kasę stalową.

Było to 9 maja 1902 r.

Policja zarządziła pościg, rozesłano na wszystkie strony świata listy gończe, wszystkie pisma podawały fotografje oszustów. Wysłany specjalnie do Buenos Aires komisarz policji, powrócił z niczem. Zbiegowie tymczasem siedzieli spokojnie w Madrycie. Tam, pod fałszywem nazwiskiem, wynajęli skromne mieszkanie na krańcach miasta. Poszukiwania policji utrudniał wielki natłok, panujący w Madrycie, z okazji uroczystości koronacyjnych króla Alfonsa XIII, zresztą nikomu nie wpadło na myśl szukać zbiegów na peryferjach miasta, lecz przetrząsano wszystkie hotele i pensjonaty. Żyli oni bardzo skromnie, by nie wzbudzić podejrzeń. Wygląd swój zmienili nie do poznania, a że prawie wcale nie ukazywali się na mieście — mogli być narazie spokojni o swój los. Cała rodzina uczyła się pilnie hiszpańskiego języka, począwszy od Fryderyka Humbert— teraz Carlosa Blanc, a skończywszy na córce Ewie, zameldowanej jako żona swego ojca. Teresa uchodziła za wdowę, donnę Martę Henry, Romain, Pedro Juono zaś, figurował jako mąż swej siostry, Marji. Los Humbertów rozstrzygnął się dopiero w 8 miesięcy później Syn sąsiada zakochał się w młodziutkiej Ewie Humbert, ojciec chłopaka szpiegował potajemnie nowoprzybyłych i po krótkim czasie zebrał dosyć materjału, by się podzielić swemi spostrzeżeniami z policją madrycką. Obawiał się przybyszów i chciał oszczędzić synowi rozczarowania.

Wyrok.

Proces obfitował w mnóstwo ciekawych szczegółów, rozgrywały się chwilami niezwykłe sceny. Teresa Humbert, przy każdem przesłuchaniu upierała się przy swojem: „Miljony są ukryte w bezpiecznem miejscu. Nie kłamałam nigdy. Rodzina Cravfordów istnieje, lecz pod innem nazwiskiem. Będę zmuszona wyjawić prawdę, jeśli się nie zjawią na rozprawę".

Nie brakło też momentów wzruszających: zdarzało się, iż w roli świadków występowali dawni przyjaciele państwa Humbert, ludzie o sławnych nazwiskach. Nie jeden ze łzami w oczach zapewniał sąd o głębokiem zaufaniu, którem darzyli podsądną i o bolesnem rozczarowaniu. Inni zaś traktowali rzecz całą z humorem. Pewien fabrykant z Rue Lefayette, któremu oszustka pozostała winną 10 miljonów franków, oświadczył z uśmiechem: „Nie jestem oskarżycielem, rezygnuję z należności. Z panią Humbert łączyły mię węzły przyjaźni, cieszę się, że mogę się przysłużyć drobnostką tej zachwycającej kobiecie".

Obrony małżonków Humbert podjął się sławny adwokat Labori; Clement zaś i André Hesse — pozostałych członków rodziny. Wyrok opiewał: po pięć lat ciężkiego więzienia dla małżonków Humbert; Romain — 3 lata, Marja — 2.

Po odsiedzeniu kary rodzina Humbert przyjęła inne nazwisko. Przed dwoma laty, policjant przyłapał na Montmartre pewnego starca na kradzieży pantofli filcowych. Był to Romain Daurignac. Umarł niedawno temu, w największej nędzy. Teresa Humbert żyje po dziś dzień. Na Boulevard Batignolles, w maleńkim pokoiku, mieszka zgrzybiała staruszka. Okno jej pokoju otwiera się tylko późnym wieczorem, o tej porze też ukazuje się od czasu do czasu na ulicy stylowa postać. Nikt z sąsiadów nie wie, kim jest. Nikt nie poznałby w niej dumnej, pięknej Teresy Humbert. Od śmierci głodowej ratują ją ludzie, którym dawniej nie szczędziła datków.

Czy można zostać jasnowidzem?





Hanussen najłatwiej wprowadza się w trans przy pomocy swego „comboloy" — różańca wschodniego.

Oto jest pytanie, które zadają sobie ludzie, interesujący się telepatją i jasnowidztwem. Na pytanie to łatwo dać odpowiedź. Przyroda jest zbyt rozumną matką stworzenia, by skazywać je na mękę wszechwiedzy. Czasami pozwala sobie na wyjątek z ogólnego prawidła i zezwala jakiemuś osobnikowi na posiadanie „drugiego wzroku". Wiedza, która nie może przejść nad fenomenami jasnowidzenia do porządku dziennego, stwierdza, że nadzwyczajne te właściwości nabyte są z czasem, zwykle pod wpływem jakiegoś wypadku życiowego, czy też wstrząsu nerwowego. Kiedy słynnemu jasnowidzowi, Erikowi Janowi Hanussenowi, zadano pytanie: jak on to robi? — odpowiedział.

— Zupełnie przypadkiem, w latach mej wczesnej młodości, przekonałem się o swych zdolnościach telepatycznych. Musiałem wtedy jednak być z kimś w kontakcie, przy pomocy dotyku dłoni. Nie rzadko czyniono mi naumyślnie psikusy, przy eksperymentowaniu, co sprawiało mi tylko szereg nieprzyjemności. Wtedy postanowiłem zerwać z kontaktem cielesnym, natomiast obserwować drgnienia muskułów twarzy i z nich odczytywać myśli. Z początku nie udawało mi się, aż pewnego razu spadło to na mnie, jak piorun. Wiedziałem, co kto myśli. Nie ustawałem w dalszych ćwiczeniach. Doprowadziłem wreszcie moją wewnętrzną koncentrację duchową do tego stopnia, że z chwilą rozpoczęcia eksperymentu całe otoczenie znikało dla mnie. Niezmiernie pomocnym był mi przy tych auto-transach na jawie, różaniec wschodni, comboloy, którego ziarnka nieustannie przesuwałem w palcach. Ten mechaniczny ruch ułatwiał mi z jednej strony koncentrację myśli, z drugiej strony odgradzał mnie kompletnie od wszelkich, instynktownych i zbytecznych emanacyj duchowych. Tego rodzaju treningi, które stosowałem codziennie, doprowadziły moją wolę do niebywałego skupienia się, wrażliwości i elastyczności.

— Pewnej nocy osiągnąłem nowy stopień jasnowidzenia. Po długiej, staranne opracowanej koncentracji, wszedłem w kontakt fluidalny z przedmiotami martwemi. Mogłem z całą dokładnością opisać historję każdego przedmiotu, a więc: miejsce jego wykonania, wędrówkę od wykonawcy do sprzedawcy, wreszcie do mego domu.



Dwie maski Hanussena podczas dokonywania eksperymentów.



Hanussen odtwarza list, sugerowany myślowo przez drugą osobę

Jaki mężczyzna najlepiej odpowiada ci na męża?

Przeglądając codziennie rubryki wypadków i nieszczęść, we wszystkich pismach krajowych i zagranicznych, spotykamy nieustannie opisy zbrodni, samobójstw, bójek i t. p., których źródłem jest nieszczęśliwa miłość, zazdrość, zdrada lub niedobranie się małżonków. Wybranie odpowiedniej niewiasty na żonę, czy też mężczyzny na męża jest rzeczą trudną, gdyż zwykle młodzi ludzie, będąc narzeczonymi, ukrywają wiele swoich wad charakteru. Dopiero po ślubie wychodzą one na jaw i są często powodem nieporozumień. Uniknąć wszystkich rozczarowań późniejszych nikt nie jest w stanie, jednakże losowi można pomóc, zbadawszy swój własny charakter oraz jego potrzeby. Poniżej podajemy pewien eksperyment psychologiczny, który, jak się każdy przekona, możliwie trafnie określi nam w rezultacie charakter przyszłej żony, czy przyszłego męża; taki, który nam będzie odpowiadał.

SPOSÓB PRZEPROWADZENIA EKSPERYMENTU

Podajemy 5 grup pytań, na które należy dać odpowiedź tak lub nie. Następnie sumujemy twierdzenia i przeczenia każdej z grup. O ile suma odpowiedzi twierdzących przewyższa sumę przeczeń — wypisujemy, gdzieś na boku, numer danej grupy. W razie gdy przeczących odpowiedzi jest więcej, zupełnie danej grupy nie uwzględniamy. Jeżeli na wszystkie grupy otrzymamy odpowiedź nie, wypisujemy 0.

Przykład: otrzymaliśmy przeważającą liczbę twierdzeń w grupach 2-ej, 4-ej i 5-ej. Otrzymujemy zatem cyfrę 245. W podanym kluczu wyszukujemy odpowiedź pod numerem 245, która będzie nam odpowiadała.

Pytania dla niezamężnych kobiet.

Grupa 1.

A. Czy czujesz się szczęśliwą wtedy, gdy nikt na ciebie nie zwraca uwagi?
B: Czy chciałaś pędzić zawsze wygodny tryb życia?
C: Czy rodzina twoja jest zdania, że posiadasz unormowany temperament?
D: Czy jest ci obojętnem, gdy naumyślnie ukrywają przed tobą jakąś publiczną tajemnicę?
E: Czy unikasz przykrej prawdy?
F: Czy chętnie się przeprowadzisz z rodziną do innej miejscowości, skoro tam twój wybrany będzie miał lepsze widoki na przyszłość?
G: Czy wstrzymasz się od wyjazdu, o ile twemu przyjacielowi nic się w życiu nie poprawi?

Grupa 2.

A: Czy masz większe zaufanie do zdania twego przyjaciela, czy też do swojego?
B: Czy zdolna jesteś zmienić swoje własne przekonanie, na skutek oświadczenia twego przyjaciela?
C: Czy często losy innych ludzi plączą się z twoim?
D: Czy przyjemnie ci iść na spacer z przyjaciółką, która kupiła sobie nowy kapelusz?
E: Czy chętnie się zgadzasz na to, aby obcy ludzie załatwiali za ciebie twoje interesy?
F: Czy czujesz się nieswojo, gdy nie posłuchasz rady twego przyjaciela?
G: Czy jesteś pewną, że uchronisz się przed wszystkiemi nieprzyjemnościami?

Grupa 3.

A: Czy możesz ułożyć sobie życie wygodnie, unikając nieszczęść?
B: Czy szybko jednasz sobie przyjaźń?
C: Czy potrafisz być pobłażliwą w drobiazgach?
D: Czy między twymi przyjaciółmi istnieje duża różnica wieku i w stanowiskach społecznych?
E: Czy lubisz pikniki?
F: Czy potrafisz z ludźmi, dla ciebie niesympatycznymi, prowadzić wspólne interesy, względnie utrzymywać z nimi kontakt towarzyski?
G: Czy w ciągu ostatnich pięciu lat zmieniłaś swoje poglądy na politykę, religję lub zagadnienia moralne?

Grupa 4.

A. Czy przykładasz dużo wagi do dobrze brzmiącego nazwiska?
B: Czy porcelana, którą posiadasz, a która ci się niepodoba, doprowadza cię do rozpaczy?
C: Czy chętnie mogłabyć chodzić cały dzień po zakupy?
D: Czy czujesz się nieszczęśliwą, gdy twoje przyjaciółki posiadają piękniejsze stroje od twoich?
E: Czy kupno auta, wynagrodziłoby krzywdę wyrządzoną ci przez rodzinę?
F: Czy potrafiłabyś obracać się swobodnie wśród, tak zwanego, wyższego towarzystwa?
G: Czy straciłabyś na pewności siebie, będąc w towarzystwie, gdybyś wdziała niepostrzeżenie suknię na odwrót?

Grupa 5.

A: Czy od wielu lat masz tego samego przyjaciela?
B: Czy robisz oszczędności?
C: Czy idziesz do dentysty, zanim cię rozboli ząb?
D: Czy zawsze jesteś zadowoloną z bucików, które kupiłaś?
E: Czy potrafisz momentalnie pozbawić się przyjemności, jeżeli chodzi o wykonanie czegoś pożytecznego?
F: Czy twoi męscy przyjaciele są dla ciebie czuli?
G: Czy cerujesz w pończosze dziurkę, kiedy jest jeszcze mała?

KLUCZE ODPOWIEDZI

Numer 0.

Charakter twój jest krańcowy. Mogłabyś być drugą Joanną d'Arc, lub odważną amazonką. Mąż twój, zależnie od tych twoich krańcowości charakteru, winien być albo łagodnego usposobienia, albo tyranem, u którego w dłoni częściej można zobaczyć szpicrutę, aniżeli cukierek. Z przeciętnym typem mężczyzny będziesz źle żyła i nigdy w twym domu nie zapanuje harmonja. Będziesz dobrą dla twych dzieci.

Numer 1.

Najlepiej będzie dla ciebie, kiedy nie ty sama będziesz wybierać, a poczekasz aż ciebie wybiorą. Napewno się na to oburzysz. Lecz trudno. Nie jesteś dobrym psychologiem. O ile masz starającego się, bierz jego oświadczyny poważnie. Sama winnaś wnieść do swego życia małżeńskiego dużo dobrej woli i twoją bezinteresowność, czem ujmiesz męża. Musisz w sobie zwalczyć chęć uczynienia czegoś lepiej, oczywiście z twego punktu widzenia. O ile zaś nie potrafisz gruntownie zmienić swego charakteru, to wyjdź za mąż za człowieka, który cię kocha taką, jaką jesteś.

Numer 2.

Najgorszem jest to, że sama nie wiesz czego chcesz. Niebezpieczeństwo leży w tem, że czyniąc wybór na męża, za wiele wymagasz, za dużo stawiasz za i przeciw, aż wreszcie tak się zaplączesz jak ów kot, który dopóty bawił się kłębkiem bawełny, póki się wreszcie nie powiesił. Najlepiej nie rozstrzygaj zbyt głęboko charakteru swego przyszłego męża i wyjdź za człowieka, którego naprawdę kochasz. Twoją zaletą jest oszczędność. Dlatego winnaś wyjść za mąż za mężczyznę, który posiada pieniądze i którego dążeniem jest jeszcze więcej zarabiać.

Numer 3.

Mężem twym winien być mężczyzna o subtelnej, niemal poetycznej duszy. Nie będzie on dbał o żadne ziemskie dobra zdobyte brutalnością i kroczeniem po trupach. Twojej miłości nawet niezauważy, zapatrzony w duchowe, szlachetne cele. Niech cię to jednak nie zraża. Winnaś go swą miękką kobiecą ręką prowadzić po drodze, którą do tej pory kroczy i kierować jego czynami, które powinny wydać piękne, niecodzienne owoce.

Numer 4.

Zawsze wiesz czego wymagać od życia i otrzymujesz prawie wszystko dość szybko. Bądźcobądź szybko się zadawalasz, a nawet czujesz chwilami przesyt. Jednakże jest to niejako obroną przed zbyt szybkim rozkładem moralnym i rozczarowaniom. Jeżeli znajdziesz mężczyznę o tym samym charakterze, możesz być pewną, że wygrałaś wielki los na loterji życia. Unikniesz trosk. Pamiętaj o tem, że kobiecie, po wyjściu zamąż, trudno jest zmienić męża, by odnaleźć spokój i ciszę.

Numer 5.

Jesteś fizycznie drobną kobietką, jednakże potężną charakterem. Jesteś dobrą organizatorką w życiu. Potrafisz w każdej okazji znaleźć się na swojem miejscu. Musisz przeprowadzić bardzo staranny wybór na swego przyszłego małżonka. Twoje ja, może się skutecznie rozwijać w atmosferze szlachetnej, a twoje uczucie macierzyńskie nie może być niczem zbrukane. Jednakże najlepszym dla ciebie otoczeniem będzie małe, prowincjonalne miasteczko. Mąż twój powinien być w miarę uległy i posiadać ruchliwość w pracy społecznej, przez co wyrobi sobie dużo krytycyzmu, a co zatem idzie należycie cię oceni.

Numer 12.

Jesteś kobietą, która wie, że nie jest najważniejszą rzeczą posiadanie 12 dzieci i osiągnięcie setnej uroczystości urodzin. Jeżeli napotkasz na mężczyznę o podobnych zasadach życiowych, będziesz szczęśliwą. Unikaj mężczyzn, którzy lubią wychuchane gospodarstwo, lub odznaczają się nadmiernemi zaletami towarzyskiemi. Pierwsi nie będą cię wkrótce interesować, do drugich nie potrafisz się nagiąć. Charakterowi twojemu odpowiada zacisze domowe i umiarkowany tryb życia.

Numer 13.

Jesteś tak arbitralna, a wymagania twoje są tak wielkie, że nigdy nie będziesz w stanie wydać objektywnego sądu o mężczyźnie, za którego będziesz chciała wyjść zamąż. Należysz do tej kategorji ludzi, którzy coś czynią, nie pytając się o zdanie swego otoczenia. Winnaś tak zawsze postępować. Jeżeli nie poślubisz mężczyzny, który ci nie odpowiada swemi męskiemi wartościami, będziesz szczęśliwa. Natomiast wprowadzisz nieład w swem życiu, o ile mężczyzna, pomimo twej samodzielności, pokieruje twemi krokami.

Grupa 14.

Nigdy nie będziesz miała męża, któryby cię całkowicie zadowolił, gdyż w charakterze twym są liczne, biegunowo odległe od siebie uczucia. Chyba, że spotkasz człowieka, który pozwoli ci iść swoją własną drogą i zaspokoi twoje najgłębsze pragnienia. Jednakże nie spodziewaj się, że będziesz odrazu posiadaczką pięknego domu, wytresowanej i licznej służby, auta najmodniejszej marki, dwojga rozkosznych dzieciaków i t. p. Pomimo to, o ile życie spłata ci figla i nie będziesz mogła zaspokoić wszystkich swych zachcianek, nie będziesz jednak zupełnie nieszczęśliwą.

Numer 15.

Jesteś rozsądnym człowiekiem, kobietą, która nie wyjdzie zamąż tylko dla jego pięknie skrojonego garnituru. Jedyne niebezpieczeństwo, którego winnaś się strzec, polega na tem, że w zbyt wielkiej gorliwości czynienia dobrze wybierasz złego mężczyznę, ażeby go naprawić. Wybieraj raczej z pomiędzy mężczyzn tego, który ma poza sobą wybryki młodości i którego temperament będzie ci najlepiej odpowiadał.

Numer 23.

Wybieraj tylko takiego mężczyznę, który potrafi cię dobrze utrzymać w ryzach, gdyż sama nie jesteś do tego zdolna. Obarczaj go wszystkiemi swemi troskami, ale dopiero po jedzeniu, gdy zapali pierwszego papierosa. Pytając go o radę, oczywiście zanim popełnisz jakieś głupstwo, trafiaj zawsze na dobre usposobienie. Unikaj mężczyzn, którzy swe własne troski powierzają żonie, a umykaj od tych,

którzy wymagają od żony całkowitej podpory w życiu. Jesteś trochę typem konserwatywnym. Jesteś zdolną ulegać słodkiemu tyraństwu małżonka.

Numer 24.

Czujesz się nieszczęśliwą ofiarą losu. Zdaje ci się, że w życiu stąpasz krzyżową drogą. Pragniesz, by twój mąż, który jest akurat czemś innem zajęty, myślał jedynie o tobie, a nie daj Boże, by zapomniał wręczyć ci podarunku w dzień twych imienin. W domu zapanuje istne piekło. Chyba, że jesteś tak piękną, że mąż łatwo zapomni o twych łzach, spazmach i wrzaskach. Wtedy znowu zapanuje spokój. Musisz wybrać sobie męża o stalowym, silnym charakterze, którego będzie stać na obsypanie cię tysiąc i jednym drobiazgiem, o którym zamarzysz.

Numer 25.

Będziesz miała dobrego męża, pod warunkiem, że go sama wyszukasz. Jesteś wpływowa i dlatego może cię oczarować mężczyzna o silnej indywidualności ale o niezbyt prawym charakterze. Sama powinnaś wyszukiwać odpowiedniego dla siebie kapelusza, kostiumu i męża. Chcąc mężowi sprawić nieszkodliwego psikusa, winnaś mieć również własne zdanie, w rzeczach polityki, religji i innych zagadnień. Będziesz szczęśliwa w małżeństwie, o ile mąż obdarzy cię prawdziwą miłością.

Numer 34.

Jesteś jeszcze niedojrzała do małżeństwa, gdyż zbyt wiele myślisz o tem, co ci winien dać mąż, nie dając natomiast nic ze siebie. Małżeństwo jednak tylko w tym wypadku będzie dla ciebie wskazane, o ile posiadasz giętkość charakteru i łatwość do zawierania zgody. Nie myśl o małżeństwie w wypadku, gdy nie darzysz pełną sympatją wybranego mężczyzny i pamiętaj, że twój mąż najlepsze cząstki swej siły fizycznej poświęca pracy zarobkowej, a jego młodość i zdrowie, które cię pociągają z początku, mogą się prędko stać tylko snem.

Numer 35.

Abyś była szczęśliwa w małżeństwie muszą być twoje zamiary szczere i nieegoistyczne. Upewnij się jednak co do tego, czy twój przyszły małżonek wniesie do waszego małżeństwa te same cechy dodatnie. Unikaj mężczyzny, który chce być tak samo surowym szefem w domu jak i w swoim biurze. Strzeż się jego rad w sprawach, które nie są dla niego miłe. Posiadasz zdrowy rozum, najskuteczniejszą broń, którą posiada kobieta.

Numer 45.

Znajdziesz na swej drodze czarującego człowieka, o którym będą mówić, oczywiście poza twojemi plecami: „On jest dla niej za dobry". Następnie wynajdziecie sobie przyszłe gniazdko, oraz zgodzicie się co do wspólnych przyjemności i ustalicie swój budżet. Cała właśnie mądrość życiowa polega na tych napozór niewinnych drobiazgach. Musisz jednak wybierać wśród mężczyzn zamożnych, pochodzących z dobrych domów, w przeciwnym bowiem razie wszystkie twe zalety zmarnują się. A następnie winnaś odrazu wypracować podział kompetencyj — twój i twojego męża. Nic mu o tem nie mów, jedynie w sposób bardzo subtelny wskaż mu jego obowiązki.

Numer 123.

Twym posłannictwem będzie zły charakter męża naprawić. Zresztą wszystkie twoje czyny o tem mówią. Robisz zawsze dobrze. A jednak wydasz się mniej szczęśliwa od innych kobiet. Powinnaś wybrać sobie męża, któryby nie brał wszystkich twych błędów zbyt serjo.

Numer 124.

Twoje małżeństwo nieskończy się napewno rozwodem, ponieważ przekonasz się z obserwacji, że i inne małżeństwa również nieszczęśliwie trafiły. Posiadasz szczególną właściwość, wyciągać korzyści ze swych błędów, których masz jednak za wiele. Często mówisz przez popełnieniem czegoś: „Mogę zrobić tę nieuczciwość, ale to przecież głupstwo, trudno wszystkiego unikać". Przy wyborze męża nie kieruj się tylko zasadą, że jego dochody pozwolą ci stale jeździć taksówką. Przekonaj się wprzód, czy również jemu do szczęścia są niezbędne haftowane serwetki i srebrna zastawa stołowa.

Numer 152.

Żelazna dłoń w zamszowej rękawiczce, oto twoja metoda, którą stosujesz tak zgrabnie, że nikt nawet nie poznaje twej ręki w tej czy innej sprawie. Potrafisz z najgorszego nawet materiału stworzyć dobrego męża, a skoro raz traficie na wspólny tor, nigdy już z niego nie zboczycie.

Numer 134.

Uważasz, że lepszy wróbel w garści, niż sroka na dachu. Ważniejszem dla ciebie w życiu, jest niezgorsze konto w banku lub kawałek ziemi, aniżeli naukowe, epokowe odkrycie, czy dobra książka. Twój małżonek powinien mieć dobry nos do wszelkich interesów. Błędem twego charakteru jest to, że nie lubisz dzieci i nie potrafisz im dać ciepła matczynego. Jesteś gotowa zawsze przyjąć odpowiedzialność za popełnione winy. Twoja natura jest bardzo skomplikowana. Będziesz twego męża trzymała silnie w garści.

Numer 135.

Małżeństwo twoje jest bliższe prawdopodobieństwa, aniżeli ludzie o tem sądzą. Nie będziesz nigdy w domu zrzędzić, ani robić mężowi niespodzianych ekstrawagancyj, jednakże stworzysz mu życie trudne do wytrzymania. Jeżeli poślubisz mężczyznę jedynie dla zewnętrznych powabów, pozbawionego natomiast pilności i pracowitości, małżeństwo twoje może się rozleceć, szczególniej o ile twoje własne interesy będą wchodziły w grę. Zamiast domu opromienionego szczęściem i miłością, zapanuje w niem atmosfera ciężka i nienawistna.

Numer 145.

Nigdy nie budujesz zamków na lodzie, tylko na pewnych fundamentach. Skrzętnie wypracowujesz swoje plany, które doprowadzasz do końca i jesteś ogromnie wyrozumiałą i wyższą wobec braków natury ludzkiej. Twoim typem winien być młody, przedsiębiorczy kupiec, który nigdy nie ma dość czasu dla ciebie, i dla którego śniadanie będziesz musiała ugotować w ciągu półtrzeciej minuty.

Numer 234.

Wymagać będziesz od swego męża mnóstwa rzeczy: sukien, pięknych mebli, dalekich podróży i wielu innych przyjemności. Również dużo czułości i hołdów. Czy jesteś zdolna odpłacić mu tą samą monetą? Potrafisz się cieszyć ze świeżo nabytego kapelusza, ale czy będziesz umieć uniknąć przykrości, które ci mogą się w twym małżeństwie nastręczyć? Zdaj sobie jasno sprawę z tego, że tylko drobna część naszych marzeń może się spełnić i nie oskarżaj swego biednego męża, jeżeli nie będzie wstanie zaspokoić wszystkich twych kaprysów.

Numer 235.

Jeżeli w swych dziewczęcych marzeniach potrafisz wytknąć sobie pewną, nieprzekraczalną granicę, to możesz być pewną, że w małżeństwie znajdziesz szczęście, co pozwoli ci być dobrą żoną dla swego męża. Wadą twoją jest to, że łatwo pociąga cię widziana twarz mężczyzny bez zdawania sobie sprawy, czy ta twarz kryje pod swoją maską złe czy dobre instynkty. Weź sobie za męża człowieka, który będzie się odznaczał wielką czułością, napewno się z nim dopasujesz.

Numer 245.

Jeżeli kupujesz naczynia stołowe, to zapewne będą one dobre, gdyż posiadasz w sobie dużo gustu i smaku. Tak samo można być pewnym, że wynajdziesz sobie właściwego męża, ponieważ kierujesz się ciepłą drobiazgowością w badaniu charakterów, a nie błądzisz na oślep pod wpływem chwilowego uniesienia. Wynotuj sobie na arkuszu papieru to wszystko, czego będziesz wymagała od swego przyszłego męża, dodaj do tego szczyptę romantyzmu i iluzji, a następnie dopasuj tę listę do sympatycznych ci młodych ludzi. Ten z nich, który chociaż w większej części odpowie twym wymaganiom, powinien zostać twym mężem.

Numer 345.

Czy twój ojciec dał ci wszystko, czego kiedykolwiek zapragnęłaś? Byłoby to złem. Pomyśl, że gdybyś oczekiwała tego samego od swego męża, wybór twój byłby bardzo trudny, gdyż niewielu młodych ludzi byłoby w stanie zaspokoić wszystkie twoje ekstrawagancje. Na całe twoje szczęście posiadasz zrównoważony, spokojny charakter i z również zadowoloną twarzą przyjmiesz swego męża, gdy ten ci przyniesie w podarunku nową torebkę, jak i wtedy, gdy go na to nie będzie stać. Pielęgnuj w sobie zdolność powstrzymania się od ciągłych zachcianek. Jest to bowiem najważniejsza przyprawa szczęśliwego małżeństwa.

Numer 1234.

Lubisz się otaczać pięknemi rzeczami, jednakże potrafisz przeboleć, kiedy cię nie stać na to. Czasami się jednak przeliczysz ze swemi siłami i wtedy nieopatrznie wpadasz. Dlatego bierz sobie zawsze do pomocy mądrego mężczyznę czy kobietę. Będziesz dobrą żoną dla niezamożnego mężczyzny, jednakże najszczęśliwszą będziesz się czuła z mężem, który umożliwi ci wstąpienie na deski sceniczne.

Numer 1235.

Nie jest rzeczą pewną, czy prosty młodzieniec, który ci winien przynieść ze sobą promień słońca, będzie dla ciebie odpowiednim mężem. Przedewszystkiem będzie on zazdrosny. Prócz tego bedzie posiadał zdrowy sąd o wszystkiem, a jeśli ty będziesz chciała przeforsować swoje zdanie, wtedy nastąpią między wami nieskończone konflikty. Musisz się strzec przedewszystkiem, by nigdy nie narazić się u niego na słuszne podejrzenie.

Numer 1245.

Będzie ci się wydawało w małżeństwie dobrze, jeżeli twój mąż będzie na tyle dobrym gospodarzem, żeby ci na niczem nie zbywało. Z całem oddaniem się dla niego poprowadzisz wasz dom, który zawsze będziesz dzierżyć silną dłonią. Posiadasz zdolność usuwania delikatnie ludzi zastępujących ci drogę w życiu. Nigdy nie będziesz wiec potrzebowała się z nimi krzyżować. Nie bądź naszpikowana zanadto żelaznemi prawidłami życiowemi i przestrogami. Nawet najpobłażliwszemu mężowi mogą się one wreszcie znudzić.

Numer 1345.

Wyjdziesz zamąż młodo, gdyż nie należysz do tych dziewcząt, które czekają na królewicza z bajki. Bardziej cię interesują praktyczne wartości twego męża, aniżeli uniesienia miłosne. Nie jesteś odpowiednią na żonę poety czy trybuna ludowego. Zresztą nawet o nich nie myślisz. Twoja trzeźwość podcina skrzydła wszelkim wzlotom i pogrąża je w przepaść realizmu.

Numer 2345.

Szukaj sobie męza wśród ludzi, których wygląd wskazuje na dostatek i popularność. Metoda, którą winnaś sie kierować, polega na wyczekaniu chwili, kiedy on coś naprawdę przedsięweźmie. Często drobne chwilowe zdobycze są więcej warte i dają większe gwarancje na przyszłość, aniżeli podniebne niespełnione marzenia. Nie powinnaś mu nigdy stać na drodze, o ile jego interesy tego wymagają. Mąż nie może spełniać jednocześnie dwuch czynności: nieustannie przesiadywać z żoną i zarabiać.

Numer 12345.

Nie potrzeba ci dawać rad co do wyboru małżonka, gdyż będziesz się zawsze w życiu kierowała rozważnie i ostrożnie. O ile się spostrzeżesz, co napewno nastąpi, żeś źle wybrała, ani na chwilę się nie będziesz zastanawiała nad zerwaniem narzeczeństwa. Małżeństwo twoje powinno być szczęśiwe i pełne tej cichej, ciepłej miłości i oddania, o które teraz tak bardzo trudno. Nadajesz się najlepiej na żonę młodego, zdolnego i rzutkiego kupca, którego marzeniem jest stać się kiedyś ojcem swego rodzinnego miasta.

Wkrótce podamy grupy pytań i klucze odpowiedzi dla kandydatów na mężów.

PIERRE MAC ORLAN. 15

Noc Marji Chantal

(La tradition de minuit)

Streszczenie poprzednich rozdziałów:

W małej kawiarence paryskiej, pod nazwą „Bal motyli“, zebrało się parę osób, wezwanych przez tajemniczą osobę, w sprawie jakiegoś olbrzymiego spadku. Po pewnym czasie, postanawiają wezwać właściciela lokalu. Ku wielkiemu swemu przerażeniu zastają go zamordowanego we własnym pokoju. Zjawia się policja, która bada zebranych. Są to: Eligjusz Mutter — antykwarjusz, Marja-Chantal Fosseuse — śpiewaczka, Lucjan Flahaut — dziennikarz, Ludwik Fraipont — chłopiec garażowy i niejaki Saint-Thierry. Śledztwo toczy się powoli, przyczem sprawa wikła się coraz bardziej tajemniczo.

Czuła zbliżające się nieszczęście, czuła, że wszystko usuwa jej się z pod nóg i postanowiła za wszelką cenę uczepić się jeszcze tego, co stanowiło teraźniejszość uczciwą i wygodną.

Kiedy Saint-Thierry wrócił do domu, zastał ja sztywną, gotową do walki.

— Jemy? — spytał.

— Izabella odchodzi. Znalazła sobie lepsze miejsce. Usłyszała twoją propozycję i wolała cię uprzedzić.

— Nie powinnaś mówić do mnie takim tonem. Nie rozumiesz mnie. Zczasem przekonasz się sama, że trzeba było tak postąpić. Wracam teraz z prefektury. Znów mówili o tobie. Sprawa Noel'a wypływa na powierzchnię i ta nieznajoma kobieta nie daje im spokoju. Wypytywali mnie o szczegóły z twego życia i twoich rodziców. Ci ludzie są czasem dziwnie głupi. Ale trzeba się bronić przed tą siłą której ja się nieraz boję, jakkolwiek dobrze ją znam i żyję w tem środowisku.

— A ja się wcale nie boję policji — odparła Marja Chantal. — jestem gotowa pójść z tobą do gabinetu sędziego śledczego. Potrafię się wytłumaczyć, bądź spokojny... Nie boję się niczego, Szymonie.

— Nie o to chodzi. Musisz uspokoić nerwy i patrzeć w przyszłość z zimniejszą krwią. Podróżując ze mną, na pewno będziesz bardzo szczęśliwa.

— Kiedy wyjeżdżamy?

— Zapewne niedługo. Może za dwa tygodnie, a może za sześć. Trzeba przecież żyć.

— Czy nic ci się nie należy w prefekturze?

— Wziąłem pensję za trzy miesiące zgóry, grałem na wyścigach...

Marja-Chantal wzruszyła ramionami. Nie odpowiedziała mu nic na to, ale patrzyła na męża tak dziwnie, że Saint-Thierry trochę zmieszany odwrócił głowę. Powtarzał tylko:

— Grałem na wyścigach...

— Potrzebne mi są pieniądze — mówiła Marja-Chantal. — Trzeba wszystko zapłacić. Muszę mieć tysiąc pięćset franków, aby uregulować najpilniejsze długi i zapłacić służącej. Od trzech tygodni przeszło nic mi nie dałeś. Oblicz...

Wyliczyła na palcach: służąca, rzeźnik, piekarz, praczka.

— To są zwiastuny naszej nędzy.

— Ależ nie, nie przesadzaj. W razie potrzeby Mutter pożyczy nam parę groszy. To dobry człowiek i nie sądzę, żeby był skąpy. Poproszę go o tę drobną przysługę. Uspokój się: jestem pewny, że Mutter mi nie odmówi. Zwrócę mu dług w przyszłym tygodniu.

— Boże, jaka ja jestem zmęczona! — jęknęła Marja-Chantal.

*

To, co Saint-Thierry nazywał operacją, udało się lepiej, niż przypuszczał. Eligjusz Mutter bez wahania otworzył szufladę swego biurka i wręczył przyjacielowi dziesięć banknotów po tysiąc franków, wzamian za co otrzymał należyte pokwitowanie. Po spełnieniu tej formalności Eligjusz Mutter usiadł w fotelu, aby przyjrzeć się lepiej pokornej i rozpromienionej zarazem twarzy swego dłużnika. Jego wspaniały gest dawał mu prawo głosu.

— Nie wolno spadać tak nisko, mój młody przyjacielu. Twoja żona nie zasługuje na taką krzywdę. Nie będę mógł zawsze wam pomagać. Ale dlaczegóżby pani Saint-Thierry nie miała wrócić do swego panieńskiego nazwiska: Marja-Chantal - Fosseuse? Powinnaby znów śpiewać. Gdyby wolno mi było dawać jej rady, powiedziałbym, żeby wróciła do dawnego zajęcia.

Saint-Thierry zagryzł wargi.

— No tak; nie mówię nie... to się zobaczy... Nie sądzę jednak, żeby Marja-Chantal mogła zacząć na nowo. Nie jest już tem, czem była. A ty, mój drogi, pracujesz ciągle nad swemi piosenkami?

— Rzeczywiście, dużo pracowałem od poniedziałku. Udało mi się nareszcie skończyć tę słynną piosenkę o zbrodni w „Balu Motyli“. To nie było wcale łatwe. Pracowałem nad tem jak murzyn. Moja piosenka o Haartmanie, rzeźniku udała mi się lepiej. Ułożyłem ją na melodję piosenki z czasów mojej młodości. Tym więcej się namęczyłem. Chcesz usłyszeć refren. Napisana jest na melodję jawy.

Eligjusz Mutter zaśpiewał poprawnie, wybijając takt piórem.

Saint-Thierry słuchał zmieszany.

— Widzę, że ci się to nie podoba — mówił Mutter.

— Mylisz się. To bardzo nastrojowe — powiedział Saint-Thierry, czując na sercu paczkę banknotów.

Z zadowoleniem usłyszał głos Flahaut'a, dobiegający ze sklepu.

— Tutaj jesteś, pustelniku! — wołał wesoło krytyk artystyczny. Good morning, gentlemen... Zapraszam się na obiad, gdyż jestem goły jak święty turecki; od tygodnia żyję ze swojej opinji.

I zwracając się do Saint-Thierry'ego, spytał:

— Jak się ma pani?

— Dziękuję, dobrze — odparł pośpiesznie Szymon, wstając, aby wyjść.

— Porzucasz nas i odchodzisz! — zaśpiewał Flahaut fałszywie.

Saint-Thierry zapiął płaszcz i wyszedł.

— Bryndza? — spytał dziennikarz.

— Yes — odparł Mutter. — To nieuniknione. Nasz przyjaciel musiał chyba odziedziczyć jakiś spadek, gdyż niewielki z niego pracownik. Boję się o niego, a zwłaszcza o Marję-Chantal.

— Świnia — rzekł Flahaut, zamykają oczy. — Mam wrażenie, że chciał byś ją sobie wypożyczyć.

— Cha, cha! Co jeszcze wymyślisz? Zresztą wcale niebrzydka dziewczynka.

— Może już się to stało? — spytał cynicznie Flahaut.

— Nie, naprawdę nie chciałbym zrobić przykrości Szymonowi.

— Wiesz, z taką mordą jak twoja, uważałby to raczej za interes, niż za świństwo.

— Zaproszę cię na obiad — powiedział Mutter — ale pod warunkiem, że zmienisz temat rozmowy. W przeciwnym razie puszczę cię kantem, nawet jeśli będziesz dopiero przy zakąskach.

— Ale à propos naszej mistyfikacji w „Balu Motyli“. Widziałem Maugarenne'a, wiesz, tego adwokata. Powiedział mi, że policja wpadła na pewny zupełnie ślad, który zaczyna się jakoby w Hiszpanji. Morderca podobno jest Hiszpanem. Niezła wiadomość, co?

— Dlaczegoś mi tego wcześniej nie powiedział — rzekł Eligjusz Mutter. Zmieniłbym całkowicie nastrój piosenki, którą napisałem o „Balu Motyli“. Skomponowałem ją na melodję jawy, ze względu na dzielnicę Billancourt i tamtejszą klientelę. Myślę teraz, że piosenka napisana na motywy hiszpańskie, byłaby odpowiedniejsza. Ale nie mówmy już o tem, gdyż trudno byłoby mi pisać dwa razy na ten sam temat.

— Pożycz mi sto franków — rzekł Flahaut.

— Nie, — odparł krótko Mutter.

XII.

— Ten pokój nie jest wprawdzie duży — mówił Saint-Thierry — ale na ten krótki czas nie warto szukać lepszego.

— Wyjedźmy zaraz do Barcelony — prosiła Marja-Chantal, — Nie zostawajmy tutaj. W tym pokoju czuć nędzę. Jedźmy do Barcelony, skoro czekają tam na ciebie.

— Nie przesadzaj.

Mieszkanie oddano Lucjanowi Flahaut, którego interesy rozkwitły w ostatnich dniach. Przejął więc apartament, płacąc Szymonowi resztę komornego za kwartał. Saint-Thierry

kupił żonie nową suknię, a sobie ubranie. Potem wynajął pokój w hotelu na małej uliczce. Ten stary, niepozorny hotelik, nazywał się skromnie „Continental Hotel". Mieszkali w nim różni urzędnicy, kilka nieokreślonych osobistości i dwie czy trzy niezbyt młode panienki. Właściciel, dawny portjer jednego z hoteli Montmartre'u, pochodził z prowincji. Był dosyć sprytny, aby uniknąć różnych zasadzek ze strony swej klienteli. Był au courant wszystkiego, co może wiedzieć taki mierny, chytry człowieczek. Potrafił zawsze zadowolić swych szefów i gości.

Dzięki takiemu systemowi, nie pozbawionemu subtelności, Amedeusz Rebicant zbliżał się do swego celu — powrotu do rodzinnego miasteczka — z wystarczającą sumą pieniędzy, która pozwoliłaby mu pozyskać ogólny szacunek.

— Zamknąć im mordy dolarami — mówił.

Ten człowiek, który nie mógł pozbyć się akcentu, właściwego swej prowincji, liczył tylko na funty, dolary, pesety i piastry.

Buenos-Aires entuzjazmowało go z przyczyn czysto idealnych, gdyż nie miał nigdy okazji do nawiązania interesów z krajem tak odległym. O piękności miasta i zwyczajach jego mieszkańców miał tak fałszywe wiadomości, że bezcelowem byłoby mu zaprzeczać. Mówił często: „Gdybym nie był taki głupi w 1919 roku, byłbym kupił 1000 metrów trotuaru". Jego myśl dopełniała się w ten sposób w wyobraźni tego, który go słuchał: „1000 metrów trotuaru, który byłbym wynajął czterem czy pięciu dziewczynom publicznym, oczywiście za odpowiednią zapłatą".

Dla Amedeusza Rebicant świat dzielił się na dwie klasy: prostytutek i tych, którzy czerpali z nich dochody oraz innych, którzy dawali im zarobek.

Dzięki tak prostym zapatrywaniom cieszył się dobrem zdrowiem i nigdy nie cierpiał na bóle głowy. Szanował tylko tych, których bolały ręce i nogi, ponieważ szanował pracę, będącą, według niego, mniej lub bardziej przyjemnym sposobem wywołania potów. Pogardzał natomiast tymi, którzy, jak się wyrażał, „pracowali głową".

Amedeusz Rebicant był żonaty. Jego żona, mała, czarna kobiecina, przesuwała się niepostrzeżenie przez korytarze hotelu. Była chciwa zysku i zdolna do wszystkiego.

Amedeusz Rebicant posługiwał się swoją żoną jak jucznem zwierzęciem. Obchodził się z nią po grubijańsku nawet w obecności lokatorów. Kilka dziewczyn starało się litować nad panią Rebicant, aby pozyskać w niej sojuszniczkę, na wypadek ciężkich dni. Ale ona wydawała się nieczuła i nie odpowiadała na ich dobre serce. Zadowalała się wzruszeniem ramion i znikała w swoim pokoju. Pilnowała drzwi wejściowych, ukrywając swą małą, złą twarz za muślinową kotarą w zielone groszki.

Marja-Chantal, stojąc przed otwartym kufrem, przyglądała się murom swego nowego mieszkania i, być może, słyszała poza ścianami, oklejonemi zwyczajnemi tapetami, głosy złowrogie, zapowiadające zbliżające się nieszczęście.

Mąż siedział na łóżku i palił papierosa.

— Musimy zaraz wyjechać do Barcelony — powtórzyła.

— Zajmę się tą sprawą — powiedział Saint-Thierry, który obawiał się niebezpiecznej rozmowy.

— Dokąd idziesz?

— Do prefektury.

— Kłamiesz...

— Cóż to znów nowego?

— Kłamiesz... byłam w prefekturze dowiedzieć się o ciebie. Nikt cię tam nie zna.

— Co ty mówisz? Co, co to takiego? — wykrzykiwał Saint-Thierry, starając się zyskać na czasie, aby odeprzeć atak, zupełnie nieprzewidziany. — Nie jestem urzędnikiem prefektury... Ja... należę do specjalnej agencji. Jestem współpracownikiem detektywa Seedlair'a. Seedlair, wiesz, ten, który prowadzi dział reklam w gazetach... Nie chciałem ci o tem mówić, dlatego, że jesteśmy obowiązani w tym zawodzie do największej dyskrecji... To nieporozumienie.

Wracała mu powoli zimna krew.

— Postąpiłem idjotycznie, bo i tak nic się nie da ukryć... Mogłem uniknąć tej przykrej rozmowy... Nie wierzysz mi? Może masz rację. Mogę ci tylko zaproponować, żebyś poszła ze mną do biura. Będziesz mogła skontrolować.

— Zaraz — odparła Marja-Chantal.

— Jaki dzień dziś mamy? Sobota? Nie, biuro jest zamknięte w sobotę. Ale, jeśli chcesz, pójdziemy w poniedziałek.

— Jeżeli nie zaraz, nie pójdę z tobą wcale.

— Nie wierzysz mi?

— Czy ci wierzę? Nie mówmy o tem. Chcę wyjechać...

— Bądźże chociaż troszkę rozsądna... Teraz wychodzę. Napisałem artykuł o zabójstwie Noël-le-Caid'a. Postaram się dać go do gazety. Flahaut, który ma zostać naczelnym redaktorem nowego dziennika, obiecał mi pomoc.

(D. c. n.)

JERZY LEWESTAM

DUM ŻEN

Praga, w grudniu 1930 r.

Dzięki uprzejmości Poselstwa R. P. w Pradze Czeskiej, a w szczególności dzięki p. Janowi Grużewskiemu, Attaché Prasowemu Poselstwa, zostałem zaproszony na wieczór dyskusyjny, organizowany przez Czeskie Towarzystwo Przyjaciół Polski w Pradze: „Czesko slovenskę Kolo Prátel Polska". Miałem niezwykłe szczęście. Będąc przelotem w drodze do Paryża, trafiłem na pierwszy wieczór, w którym krytycy sceniczni czechosłowaccy zetknęli się z poważnymi znawcami i pionierami sztuki i kultury polskiej, z profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, Dr. Marjanem Szyjkowskim, na czele.

Przedmiotem dyskusji była nowowystawiona w Pradze sztuka Zofji Ryger-Nałkowskiej „Dom Kobiet" — „Dum Żen", mająca stanowić zaczątek zbliżenia się scenicznego dwu słowiańskich kultur.

Sztuka ta narobiła niesłychanej wrzawy w prasie czeskiej. Jak podkreślił w przemówieniu swem prof. Szyjkowski, rzadko spotkać można było taką różnicę zdań poszczególnych sprawozdawców teatralnych. Jedni twierdzili, że „Dom Kobiet" ma wielki ibsenowski zakrój że p. Nałkowska jest niezwykłym talentem, pozbawionym jednak zupełnie cech czysto słowiańskich, nie może więc być traktowana jako przedstawicielka współczesnej polskiej sztuki scenicznej. Inni znów dowodzili, że sama koncepcja, acz zupełnie nowa, jest nawskroś przesycona słowiańskością. Dopatrywano się w niej również wpływów niemieckich, rosyjskich, a nawet znalazł się ktoś, kto nawet wyczuwał posmaczek starego Szekspira.

Niektórzy **divadelni referenti** (sprawozdawcy teatralni) zarzucali p. Nałkowskiej zbyt małe wyczuwanie publiczności i sceny. Inni rozpływali się nad wirtuozowskiem operowaniem elementem kobiecym. Same kobiety na scenie. **C'est epatant...** — jak mówią francuzi.

Jednem słowem burza o sztukę polską. Zainteresowanie znacznie większe, niż w okresie, kiedyśmy wystawiali „Dom Kobiet" w Teatrze Polskim w Warszawie.

Dzisiejszy wieczór, ma uzgodnić zapatrywania i znaleźć drogę do polsko-czeskiego scenicznego zbliżenia, będącego zaczątkiem ogólno-słowiańskiego sojuszu teatralnego.

Prof. Szyjkowski mówi ze swadą. Pół po czesku, pół po polsku. Tak, aby wszyscy zrozumieli. Czyni to z wielkim wdziękiem i swobodą. Nigdy przedtem nie słyszałem podobnego wykładu.

Objaśnia nam walory sceniczne i **nowość** „Domu Kobiet", z punktu widzenia sztuki polskiej. Przytacza rozmaite recenzje krytyków czeskich, starając się znaleźć średnią w ocenie samego utworu.

Prof. Szyjkowski z zapałem dowodzi o konieczności podobnego zbliżenia, dla ogólno-słowiańskiej kultury. Szuka dróg: Prapaganda? Prasa? Rolę tę spełniać mają towarzystwa Polsko-Czeskie i Czesko-Polskie. Wystawiać, jaknajwięcej wystawiać, dobierając umiejętnie repertuar. Ktoś podkreśla różnicę temperamentu publiczności. Sztuka, która może mieć szalone powodzenie w jednem mieście, może zrobić zupełne fiasco w innem. Cóż dopiero, gdy chodzi o dwa różne narody? Przypomina, jak różnie reagowała Praga i Warszawa na osławionego „Szwejka".

Dyskusja jednak, kończy się w poczuciu konieczności polsko-czeskiego zbliżenia teatralnego.

— My to — tu w Pradze — dobrze rozumiemy — mówi reżyser Mèstskevo Divadla — ale czy zrozumieją to w Warszawie?...

— — — — — — — — — — — — — — —

Na zakończenie urządzono wieczór towarzyski.

Ktoś siada do fortepianu i gra Blues'a. Za chwilę podchodzi do niego prof. Szyjkowski i szepce mu coś do ucha. Melodja zmienia się: Walc!

— Kółeczko! — krzyczy profesor — u nas w Polsce tańczą figurowego.

Walc. Tańczę z p. Jukasovą, znaną czeską artystką divadlaną.

— Żebyście tylko pojęli, jak wiele zyskałaby sztuka czesko-polska, gdyby zbliżenie, o którem dziś mówiono, faktycznie nastąpiło. My, artyści czescy, rozumiemy to oddawna...

Impresje teatralne

Teatr Narodowy: „Pan Geldhab" oraz „Nikt mnie nie zna", komedja Aleksandra Fredry. — Teatr Polski: „Romans ministerjalny", R. Coolusa i A. Rivoire'a. — Operetka Warszawska: „Rozwódka", Leona Falla.



Mieczysław Frenkiel w roli „Geldhaba". (fot. Malarski.)

Zawsze miło jest słuchać wierszowanego rezonerstwa starego Fredry, zwłaszcza, gdy obsada potrafi uwydatnić wszystkie walory tego „starego wina" komedjowego. Trudno zaś chyba było Fredrze marzyć o lepszym wykonawcy jego Geldhaba, niż Mieczysław Frenkiel, wciąż jeszcze w tego rodzaju rolach niezastąpiony na scenach polskich. Otoczony wieńcem swych utalentowanych kolegów: Majdrowiczówny, Różyckiego, Staszkowskiego, Łuszczewskiego i Janusza, stworzył kreację, która niewątpliwie posiądzie swą kartę w dziejach polskiej gry aktorskiej. Bardzo rzadko wystawiana komedja „Nikt mnie nie zna" znalazła również świetnych interpretatorów, przedewszystkiem w osobie rasowego Kurnakowicza, następnie zaś w postaciach: Gromnickiej, Szymańskiego, Skarzyńskiego, Neubelta i bardzo dobrej w epizodzie Dobrowolskiej.

Odegrany w teatrze Polskim „Romans ministerjalny" paryskiej spółki aktorskiej można śmiało nazwać utworem „seryjnym", ale francuski kunszt dramatyczny stoi tak wysoko, że nawet tamtejsze „wyroby seryjne" stoją zawsze na poziomie innych „articles de Paris". A już gra naszych aktorów w tej sztuczce była najsolidniejszą „ręczną" robotą. Nawet rzadko się widuje, aby grali z takiem przejęciem. Samborski tak wycyzelował swą rolę, stworzył typ, tak jednolity i oryginalny, jak tylko on to potrafi. A znów mało kto ma tyle zacięcia i wdzięku komedjowego co Leszczyński, najszlachetniejsza nasa aktorska w najlepszym stylu. Zawsze staranna i sumienna, zawsze wytwornie dystyngowana Kamińska jest najbardziej „paryską" z aktorek warszawskich. O Romanównie nieraz już mieliśmy okazję wyrażać się z największemi pochwałami. Utrzymujemy je w całej mocy, szczególnym poklaskiem darząc z przemiłym sentymentem odegrany monolog aktu trzeciego. Za dobre epizodziki należy się uznanie: Macherskiej, Łapińskiemu i Karczewskiemu. Dekoracje Frycza w II akcie — zachwycające.

Z przyjemnością poszło się do „Operetki Warszawskiej" na „Rozwódkę". Ten piękny bukiet melodyjnych walczyków nie traci nigdy swej soczystej barwy, zachowując swą wartość nieprzemijającą, niezależnie od zmian mody i upodobań. Niezapomniane melodje „rozwódkowe" ożyły, jeżeli nie w pełni kras, to w każdym razie choć w części, ale i to jeszcze jest muzycznie stokroć wartościowsze i milej brzmiące, od wszystkich obecnych tang i bluesów, razem wziętych. Gondę (niegdyś Messal) śpiewała Śliwińska, Janę (niegdyś Kawecka) — Olgina, znana śpiewaczka operowa. Jeden Redo pozostał przy swojej roli. Ale... lepiej nie porównywujmy. Tak czy inaczej, każdemu polecamy „Rozwódkę". Niech starzy przypomną sobie dawne czasy, a młodzi dowiedzą się, jak to dawniej umiano komponować operetki. Jeszcze tylko parę ciepłych słów pochwały dla Wawrzkowicza (najlepszy w zespole), oraz dla bardzo dobrego aktorsko Śliwińskiego.

Henryk Liński.

Nasz przyjaciel Jotes przy pracy

Ze szpetnej fizjonomji zrobić karykaturę nie jest sztuką. Gorzej jest natomiast, kiedy karykaturzyście pozuje premjowana piękność. Lecz Jotes wychodzi zwycięsko z próby, a p. Batycka na „bóstwo"!





Panna Batycka śmieje się na widok swojej karykatury.

CYKLON „ISKRY"

(Dokończenie ze str. 31-szej

działo, było tylko przedsmakiem piekła. Właściwy taniec dopiero się zaczyna.

Okręt niknie zupełnie wpośród niebotycznych gór wodnych. Powietrzem, nakształt pociągów kurjerskich, pędzą rozszalałe hufce wichrów: 120 może 150 kilometrów na godzinę. Z dnia robi się ciemna noc. Niewiadomo już zupełnie co woda, co piana, a co powietrze.

I w takim momencie do kapitana de Waldena przypełza na czworakach (boć inaczej chodzić niepodobna) marynarz z dziobu i melduje:

— Przednie żagle porwało!

Po kilku minutach drugi meldunek: — Zerwało grot - żagiel.

A w chwilę później ostatnia deska ratunku — bezan (żagiel tylnego masztu) poczyna rwać się w kawały. Tym razem kapitan stojący w tyle, u koła sterowego, obok przywiązanego linką sternika, widzi wyraźnie. Szwy puszczają jeden po drugim i wkrótce „Iskra" trzyma się tylko na jednym malutkim skrawku płótna.

„Nieszczęście nie przychodzi nigdy samo", — mówi stare francuskie przysłowie. I jakby na potwierdzenie tych słów nowy na czworakach meldunek:

— Pożar w radjostacji!

Tego jeszcze brakowało. Kapitan Kwiatkowski — zastępca dowódcy — chwyta za „minimax" i z dwoma marynarzami stara się dotrzeć do ognia. Fala, dostawszy się do wnętrza, wznieciła tam krótkie spięcie. Ale z zalanych akumulatorów wydobywa się nieznośny zapach chloru. Przytem kołysanie jest tak straszne, że nie sposób utrzymać się na nogach. Jakże tu gasić?

Na szczęście druga fala — litościwsza — sama gasi pożar — naprawiając winę poprzedniczki. Jednocześnie, na rozkaz kapitana, rozpoczyna się praca nad zbudowaniem pływającej kotwicy, mającej „Iskrę" ocalić od zagłady, gdyby ostatni kawałek żagla pofrunął z wichrem.

Kapitan de Walden, porucznicy Kowalski, Jabłoński, Bartoszyński, Danyluk, kapitan Kwiatkowski, walczą niezmordowanie z najstraszliwszym z żywiołów. Załoga, zachęcona ich przykładem nietylko, że nie traci ducha, ale spełnia rozkazy ochoczo. I jakby zmęczony walką z temi uparciuchami, co jakoś ani rusz zatonąć nie chcą — cyklon słabnie. Barometr powoli poczyna iść w górę.

Porucznik Bartoszyński, mimo złamanego palca (przewrócił się nań w messie kredens — „swój do swego po swoje" — bo por. Bartoszyński jest gospodarzem messy) obejmuje wachtę. Noc jest straszna i pełna niesamowitej grozy. Ale wicher powoli słabnie. Rankiem zaś, na wachcie por. Danyluka — który ma podobno specjalne zdolności do uspakajania żywiołów — uspakaja się zupełnie. Jeszcze tylko morze kołtuje się czas jakiś.

Najwyższy czas zresztą. 18 godzin trwała walka z rozpętanemi żywiołami. 18, długich jak wiek godzin, spędzili marynarze nasi w walce, nietylko o swe życie, ale i o honor polskiej marynarki wojennej. Przecież gazety niemieckie pisały, że Polacy nigdy marynarzami być nie potrafią, — ba nawet topiły już „Iskrę" podczas szkwału, w pobliżu przylądka Hatteras, opisując jej koniec. Trzeba było zadać kłam plotkom krzyżackim. Trzeba było pokazać, że marynarz polski umie zwyciężać nietylko wrogów, ale i żywioły.

I po 33 dniach podróży „Iskra" zawija do Brest we Francji, powiewając dumnie biało czerwoną banderą, wzbudzając podziw marynarzy francuskich.

Bosman.

Rozrywki umysłowe

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR. 48.

Z	O	R	Z	A	✱	B
A	L		M	✱	✱	E
L	E	M	I	E	S	Z
E	G	Z	E	M	A	✱
S	✱	S	N	✱	R	A
K	R	A	I	N	A	✱
I	✱	K	Ł	U	T	Y

ROZWIĄZANIE „KRZYŻA MAGICZNEGO" Z NR. 49.

		N	K	B	R		
		A	L	A	O		
N	A	Ł	Ę	C	Z	Ó	W
K	L	Ę	C	Z	N	I	K
B	A	C	Z	N	O	Ś	Ć
R	O	Z	N	O	S	I	Ć
		Ó	I	Ś	I		
		W	K	Ć	Ć		

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR. 50.

Logogryf.

bzUra
paPka
maTka
krOwa
paNna
paSta
klIka
soNda
maCka
laLka
trAwa
alIna
paRka

ZADANIE KONIKOWE.

Zwołanie sesji nowego sejmu i senatu.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR. 51.

D O L I N A
A S X N E T
M E N T O L
X Ł X R X E
I K N U R T
K A X Z X A

LOGOGRYF Z NR. 51.

P O G O Ń
B R A W O
P O L A K
P A S E K
B A W O Ł
P R O Z A
W A R T A
S A T Y R
S C H A B
S T Y K A

NAGRODY.

Za rozwiązanie krzyżówki z N-ru 48 nagrody otrzymują (w wyniku losowania):

Zł. 25

p. Roman Rutkowski, Augustów, woj. białostockie, Pl. Piłsudskiego 6.

Książki beletrystyczne pp. R. Fiszerówna, Ozorków, Al. Piłsudskiego 5/7, Ina Szuldinerówna, Warszawa, ul. Niska 6 m. 6.

NAGRODY.

Za rozwiązanie zadań z N-ru 50 nagrody otrzymują (w wyniku losowania):

Zł. 25.

p. Stanisław Trzos, Poznań, ul. Wspólna 10/I.

Książki beletrystyczne pp. H. Mokrzycka, Warszawa, ul. Marszałkowska 99, Michalina Haichowa, Lwów, ul. Grunwaldzka 1.

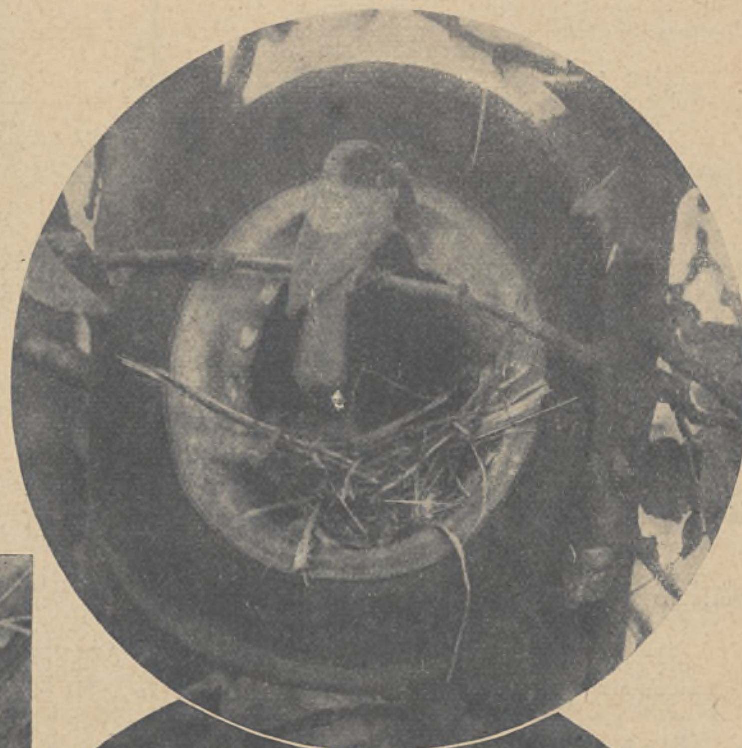
MATCH SZACHOWY

Makarczyk — Regedziński.

W końcu ub. miesiąca został rozegrany w Łodzi math z 8 partyj pomiędzy mistrzami Makarczykiem i Regedzińskim. Zwyciężył Makarczyk w stosunku 4½ : 3½. (3 wygrane, 2 przegrane, 3 remis).



„W małej chatce — byle z tobą". Zdaje się, że ten piękny aforyzm, wymyślony przez ludzkich poetów, znalazł praktyczne zastosowanie jedynie wśród społeczeństwa ptaków. Dowodem tego są załączone zdjęcia, na których widzimy stare buty, kapelusz, dziurawy dzbanek i czajnik, służące za „małe chatki" zakochanym parkom.



Potrzeba jest matką wynalazków





„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE

Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50, półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna kwartalnie 8 zł, półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałkowska 99. Tel. 525-85. Konto PKO 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł 1.200, ½ strony zł 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 mm 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe. Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: PRASA ILUSTROWANA S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 717-98 i 504-46.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



Bieżący numer gwiazdk... ukaże się w sobotę dn. 20 grud... r.

W tekście: M...kuszyński, Kleszcz...ski, Kawe... ...trumpf-Wojt...cz i inni.